Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 26/27 (2122/3) 31 III – 4 IV 1972 r. Cena 1 zł

TYTUS i ATOMEK

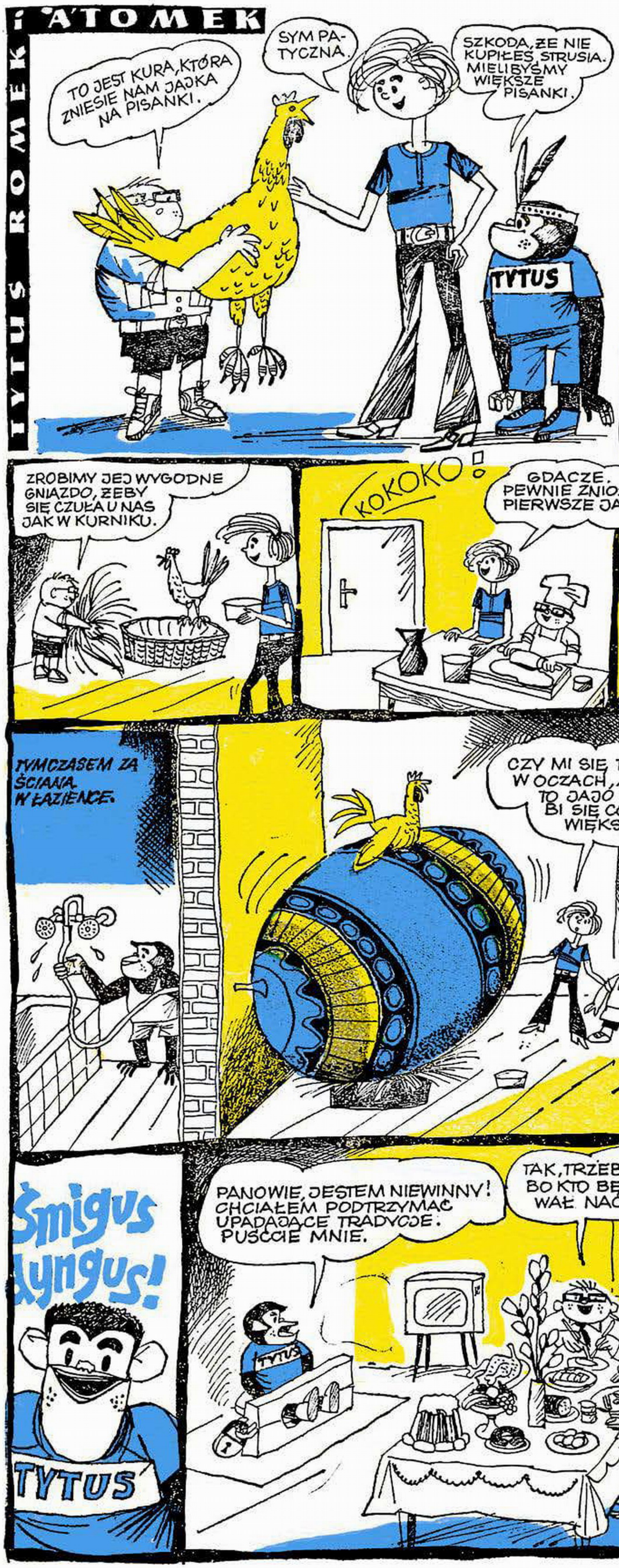

Ile jest w lesie drzewostanu i ile jest zieleni w łąkach, i ile wody płynie z kranów, i z ilu ziaren bywa mąka, tyle wszystkiego najlepszego i jeszcze lepszych przygód serii swym Koleżankom i Kolegom życzy „Świat Młodych" na czas ferii.

ŚWIĄTECZNY PRZEKŁADANIEC

Polska jest chyba jednym z nielicznych krajów, gdzie różne doroczne tradycje pielęgnowane są z całym pietyzmem. I to bardzo dobrze, że tak jest. Tradycje i obyczaje są bowiem częścią kultury narodu.

Święta wielkanocne szczególnie obfitują w różnorodne zwyczaje: śmigus-dyngus, gaik-maik, „nowe latko", pisanki — żeby wymienić tylko niektóre. Kultywując tradycje naszych ojców warto wiedzieć, jak głęboko w przeszłość sięgają ich korzenie.

WIELKANOCNE ZAJĄCZKI, BARANKI I „PALMY"

ZWYCZAJE wielkanocne przechowały wiele tradycji, przeniesionych do chrześcijaństwa z dawnych pogańskich obchodów Święta Wiosny. Sprzedawane na ulicach wiązki bazi i tzw. palmy — to uproszczona forma słowiańskiego gaiku — zielonej gałęzi sosnowej, przybranej we wstążki i kwiaty. Te bazie, palmy i gaik przypominają starogreckie tyrsy — laski ozdobione wieńcami, noszone podczas uroczystości dionizyjskich ku czci budzącej się wiosny.

Sprzedawane w sklepach zajączki, to również pozostałości po tychże obchodach dionizyjskich, w czasie których składano bóstwu ofiarę zająca, największego szkodnika winnic.

A baranki wielkanocne? Ich tradycja sięga odległych czasów na Półwyspie Arabskim. Otóż plemiona pasterskie tego półwyspu w okresie świąt wiosennych składały bóstwu na ofiarę pierwszy przychówek ze swego stada — małego baranka. Baranek stał się później symbolem niewinności u chrześcijan.

Tak więc nasze obecne tradycje świąteczne są mieszaniną obrzędów różnych ludów starożytnych, także i starosłowiańskich.

RODOWÓD ŚMIGUSA-DYNGUSA

Zwyczaj oblewania się wodą w świąteczny poniedziałek sięga bardzo odległych czasów. Jego rodowód tkwi swymi korzeniami w rozpowszechnionych na całej kuli ziemskiej obrzędach oczyszczających.

Symboliczne oblewanie się wodą znaczyło u ludów pierwotnych zmywanie win.

Niektórzy badacze starożytnych kultur są zdania, że tak powszechne na Wschodzie rytualne obmywanie się stanowiło swego rodzaju zabieg higieniczny. Co więcej, rytuał ten nakazany był przepisami religijnymi.

Zwyczaj obmywania się przed każdą modlitwą, po której następował zwykle posiłek — przetrwał u mahometan do dzisiejszego dnia. Przez swoją funkcję religijną spełnia również znakomicie zadania sanitarne.

Doroczna kąpiel buddystów w świętej wodzie Gangesu jest również połączeniem funkcji religijnej z higieną osobistą.

W naszym rodzinnym dyngusie podobnie odnajdujemy elementy pogańskiego rytualnego oczyszczania pomieszane z zabiegami sanitarnymi.

Znakomity polski etnograf, Zygmunt Gloger, tak pisze o śmigusie-dyngusie: „WYGLĄDA, JAKBY ŚMIGUS BYŁ PAMIĄTKĄ UMYWANIA SIĘ NA WIELKANOC PO POKUCIE WIELKOPOSTNEJ, POLEGAJĄCEJ W ŚREDNICH WIEKACH NA ZANIEDBANIU CIELESNYM".

Istotnie, czterdziestodniowy post, w czasie którego tak bardzo umartwiano ciało, że nie myto się i nie wyczesywano z włosów popiołu od środy popielcowej — robił swoje. Oblewanie się wodą w czasie świąt było więc nie tylko tradycją, ale i koniecznością sanitarną.

„NOWE LATKO"

ZWYCZAJ PIECZENIA specjalnych ciast na święta ma w naszej kulturze ludowej bardzo stare tradycje. Resztki tej tradycji przetrwały w niektórych wsiach północnowschodniej Polski. Ciasta te, wyobrażające postacie zwierząt i ludzi, miały kiedyś znaczenie magiczne.

Na Warmii i Mazurach oraz na terenie kurpiowskiej Puszczy Zielonej największą wagę przywiązywano do wypieków zwanych „nowe latko". Przedstawiały one najczęściej krowy, woły, byki, cielęta, psy, rzadziej ptaki domowe.

„Nowe latko" tylko częściowo trafiało na stół i to tylko dla dzieci. Większość tych wypieków przechowywano przez cały rok. Np. na Kurpiach „nowe latko" wieszano u pułapu w miejscu szczególnie uprzywilejowanym. Ozdabiano je również wycinankami i „palmami".

„Nowe latko" w domu wróżyło powodzenie w hodowli zwierząt. Często też uciekano się do pomocy tych wypieków, które miały mieć magiczną moc. Np. rozmoczone w wodzie „nowe latko" podawano krowom przed wycieleniem, czy też kurom, aby się dobrze niosły.

Dziś oczywiście nikt chyba nie wierzy w niezwykłe właściwości „nowego latka", niemniej stary zwyczaj kultywuje się nadal. Najczęściej zwierzęta domowe z ciasta wypieka się dziś na różne konkursy, organizowane m.in. przez CPLiA.

O JAJKU TO I OWO

Tradycyjnie na świątecznym stole, obok wielu przysmaków, znajdują się jajka na twardo, często pięknie ozdobione — pisanki lub kraszanki. Spożywanie jaj w czasie świąt wiąże się z dawnymi wierzeniami różnych ludów, które uważały je za symbol życia. Tak zresztą jest w istocie, jajko to przecież jakby utajona forma przyszłego żywego organizmu.

Zostawmy jednak poważne rozważania filozofom. Proponuję coś „lżejszego" o jajku. Na początek:

FRASZKA TUWIMA

„Gdyby jajko miało inną formę, życie kury byłoby potworne".

PRZYSŁOWIA O JAJKACH

- Nie szkoda mozołu — stracić jaje, a zarobić wołu.
- Jajko mądrzejsze od kury.
- Nie zawsze złote jajka kokoszka niesie.
- Lepiej mieć jaje bez znoju, niż kurę po ciężkim boju.

JAJKO KOLUMBA

Legenda głosi, jakoby widok jajka natchnął Kolumba myślą, że ziemia jest kulista i do Indii można dopłynąć z drugiej strony. Tak jajko weszło również do historii.

DANE LICZBOWE

Jajko kurze waży średnio 58 gramów, objętość jego wynosi 53 cm^3, a powierzchnia — 68 cm^2. Zawiera bardzo dużo wartościowych składników odżywczych. Pamiętajcie jednak, aby w czasie świąt nie zjadać więcej niż dwa jajka na twardo. Jeśli przekroczycie tę normę — mogą wystąpić kłopoty żołądkowe.

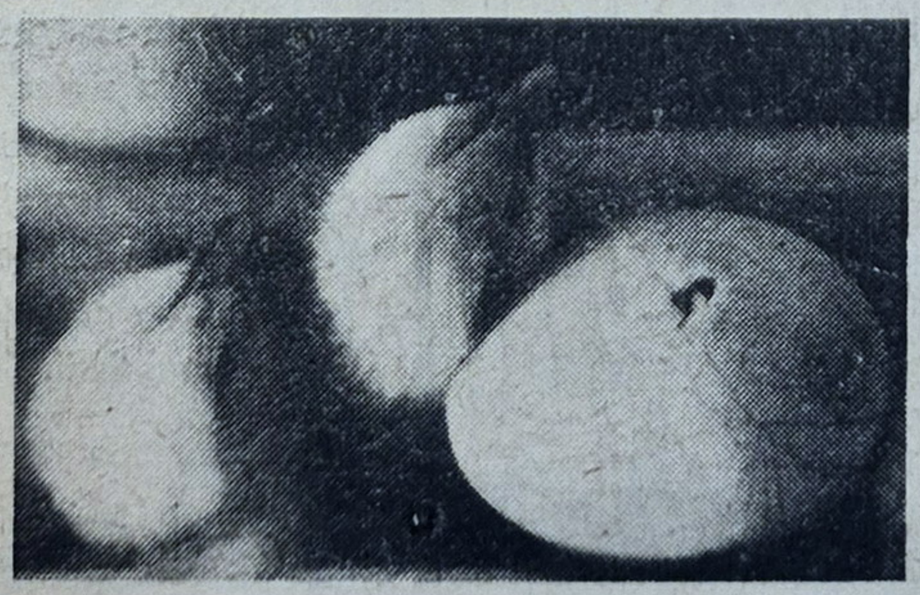

ŚMIGUS-DYNGUS W POLSCE I W BIRMIE

„Zabrania się, aby w drugie i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet, a kobiety mężczyzn nie ważyli się napastować o jaja i inne podarki, co pospolicie nazywa się dyngować, ani też do wody ciągać..." głosi ustawa synodu duchownego diecezji poznańskiej z 1424 roku za panowania Władysława Jagiełły.

Dyngowanie uważano wówczas za zwyczaj pogański, przyjęty od Prusów, którzy oblewali się wodą podczas uroczystości wiosennych. Kto jednak złożył odpowiedni okup z jaj, masła i młodego przychówku, mógł być zwolniony od oblewania.

Oblewanie się wodą znane było nie tylko u pogańskich Słowian. Podróżnik angielski Symes, opisując swój pobyt w 1796 r. na dworze birmańskiego władcy Pegu opowiada, że tamtejsi buddyści około 10 kwietnia obchodzą wesołe trzydniowe uroczystości zakończenia starego roku (wg ich kalendarza). Drugiego dnia świąt Birmańczycy mają zwyczaj oczyszczania się z grzechów starego roku przez wzajemne oblewanie wodą. **Nawet król nie jest od tego wolny.**

„W pałacu królewskim, po odbyciu poważnej ceremonii, zostawieni byliśmy na pastwę 30 panien dworu, które wpadły na salę z konewkami i zaczęły nas niemiłosiernie oblewać. Oddaliśmy im za swoje, aż wody zabrakło"... — opisuje Symes.

W Polsce działo się podobnie. **„Była to swawola powszechna w całym kraju, tak między pospólstwem, jak też między dystyngowanymi"** — pisze Jędrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów za panowania Augusta III". — **„W poniedziałek wielkanocny mężczyźni oblewali wodą kobiety, a we wtorek kobiety mężczyzn..."**

Opracował:
ST. BOROWIECKI

Nadchodzi era LATAJĄCYCH MIAST...

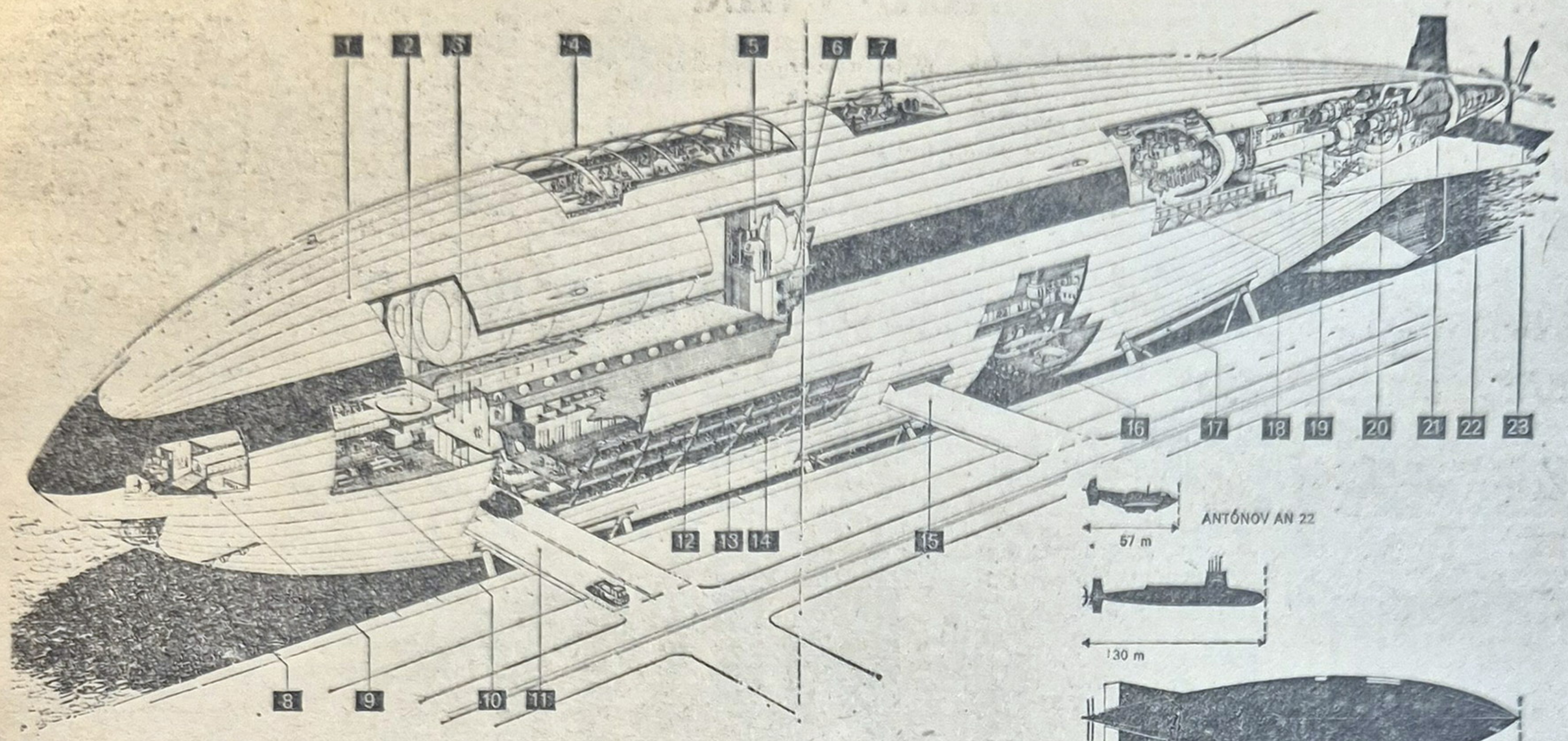

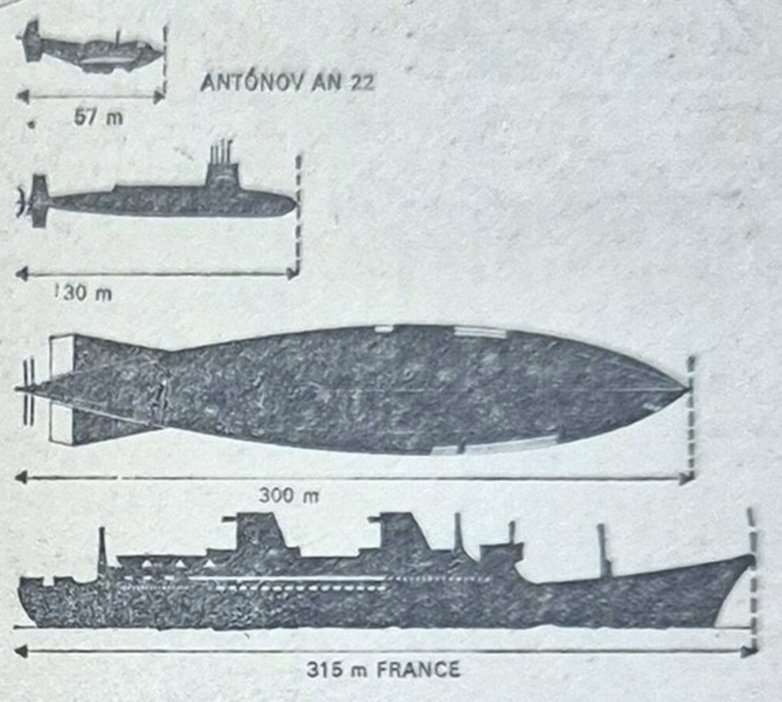

1. Powłoka zewnętrzna 2. Urządzenia nawigacyjne 3. Pokład spacerowy wewnętrzny 4. Sala spacerowa na górnym pokładzie 5. Winda 6. Pojemnik z gazem 7. Lądowisko dla śmigłowców 8. Kabina dla pilotów 9. Punkt dowodzenia 10. Ładownie 11. Pomost I 12—14. Kabiny pasażerskie 15. Pomost II 16. Hangar dla samolotu pokładowego 17. Urządzenia kotwiczne 18—22. Reaktor atomowy, siłownia, turbiny 23. Śmigło napędowe

KOSZTOWAĆ będzie siedem razy taniej niż samolot. Potrafi przewieźć jednorazowo 600 pasażerów w superkomfortowych warunkach, lub zawartość dwóch długich pociągów towarowych. Może osiągnąć szybkość bliską 200 km/godz. pokonując odległość między Europą a Ameryką w ciągu 30 godzin. Z jego pokładu będą startować samoloty i helikoptery.

Oczywiście chodzi tu o będące już w stadium projektowania współczesne podniebne giganty komunikacyjne — sterowce, zwane niekiedy „latającymi miastami".

Najdłuższy skok świata

Jest w Moskwie-Tuszino jeden z najdziwniejszych klubów sportowych na świecie — Centralny Aeroklub im. Czkałowa. Członkowie tego klubu specjalizują się w skokach balonowych. Wygląda to w ten sposób, iż skoczek zamiast spadochronu ma przy sobie balon, który napełnia helem z butli. Można skakać... z powierzchni ziemi, do góry, czyli odwrotnie niż przy skokach ze spadochronem. Absolutny rekord takiego skoku przy sprzyjającym wietrze (ciężar skoczka jest zawsze równoważony wypornością balonu) należy do Jurija Briukowa i wynosi... 523 km!

Ten niezwykły przykład świadczy o tym, jakie możliwości kryje w sobie sama idea szybowania w powietrzu przy pomocy balonów czy sterowców. Nie ma się więc co dziwić, że ostatnio coraz częściej mówi się o tym, iż sterowce są dopiero u progu swojego rozwoju i przyszłość będzie należeć do nich.

Projekty „Asbery"

Nad jednym z takich projektów sterowca-giganta, jak gdyby żywcem przeniesionego z fantastycznych powieści Juliusza Verne, pracuje radziecki konstruktor Fiodor Asbery ze swoimi współpracownikami.

Statek powietrzny ich projektu ma mieć 296 m długości, 52 m średnicy i zawierać w swoim wnętrzu 339 840 m^3 helu. Gaz zamknięty w 17 komorach z nylonu da siłę nośną około 340 ton. Przypuszczalna szybkość statku 170 km/godz.

W wersji pasażerskiej (bo jest i towarowa) sterowiec zabiera na pokład do 700 pasażerów wraz z ich bagażem. Załogę stanowi tylko 10 osób.

Na pokładzie podzielonym na 15 pięter są dwie luksusowe restauracje, kino, sale koncertowe, księgarnie, bary, sklepiki z pamiątkami itp. oraz oczywiście kabiny dla pasażerów i załogi. W górnej części sterowca (patrz rysunek) znajduje się m. in. lądowisko dla helikopterów dostawczych czy ratunkowych, a w dolnej — dla kilkunastoosobowego samolotu.

Projektanci uważają, iż sterowce takie powinny cumować w portach wodnych, przy pomocy specjalnych pływaków i kotwic.

Podobnych projektów, nieraz już bardzo szczegółowo opracowanych, jest na świecie kilka. Który z nich doczeka się realizacji?

Wydaje się, iż już najbliższa przyszłość udzieli odpowiedzi na to pytanie...

Wg „SCIENCE ET VIE"
oprac. J.D.

LŻEJSZE OD POWIETRZA

Dawne sterowce napełniane były wodorem. Po serii pożarów tych wielkich statków powietrznych (wodór jest łatwopalny i wybucha) — zrezygnowano z ich budowy i użytkowania. W obecnej chwili konstruktorzy powracają jednak do — wydawałoby się — przestarzałych koncepcji komunikacyjnych z lat dwudziestych naszego stulecia. Ale oczywiście w wersji unowocześnionej...

● *A więc zamiast dawnego niesłychanie niebezpiecznego wodoru — absolutnie bezpieczny hel. 1 m^3 tego gazu w temp. 15,6 st. C na poziomie morza, waży tylko 170 gramów, a 1 m^3 powietrza — 1223 gramy. Daje to siłę nośną ponad 1 kg na 1 m^3 gazu. Warto przy tym wiedzieć, iż podgrzewanie gazu lub ochłodzenie powietrza otaczającego sterowiec — zwiększa nieco ową siłę.*

● *Sprawa druga to materiały na szkielet i powłokę. Konstruktorzy proponują stopy aluminium z tytanem — na część sztywne i specjalnie przygotowane folie nylonowe na pojemniki z gazem. Pojemniki, gdyż gaz dla bezpieczeństwa powinien być podzielony na odpowiednie porcje — odpowiadające grodziom wodoszczelnym np. na łodzi podwodnej. Owa folia nylonowa jest sześciokrotnie lżejsza od podgumowanego płótna używanego w sterowcach starego typu i bardziej wytrzymała na uszkodzenia niż... blacha żelazna takiej samej grubości!*

● *I wreszcie silniki. Ze względu na ogromne możliwości udźwigu i wielkie rozmiary statku powietrznego można śmiało projektować napęd atomowy. Osłony stosu atomowego są co prawda ciężkie, ale za to zaoszczędza się na zabieranym paliwie, którego w czasie podróży dookoła świata nie zużyto by więcej niż 1—2 kg. Również możliwość umieszczenia stosu atomowego w odległości 100 czy 200 m od pomieszczeń dla pasażerów i załogi — zmniejszy do minimum niebezpieczeństwo napromieniowania.* (J.D.)

UWAGA! UCZESTNICY III OGÓLNOPOLSKIEGO TURNIEJU WIEDZY OBYWATELSKIEJ

JUŻ W NASTĘPNYM n-rze „ŚWIATA MŁODYCH"

znajdziecie WIELKI KONKURS

z atrakcyjnymi nagrodami

● **Na Pałukach — między Kujawami a Wielkopolską Centralną — leży wieś Wenecja. Wzięła ona swą włoską nazwę chyba stąd, że jest otoczona aż trzema jeziorami. W pałuckiej Wenecji zachowały się ruiny zamczyska, wzniesionego w XIV wieku. Dostępu do średniowiecznej warowni broniły niegdyś grube mury z basztą oraz fosa.**

Z miejscem tym wiąże się żywa do dziś legenda o „diable weneckim", którego postać zawędrowała nawet na karty naszej literatury. Chodzi tu o właściciela zamku, który jest bohaterem licznych podań ludowych. Określają go one jako „krwawego diabła". Wyglądało na to, że był to człowiek bardzo okrutny i bezwzględny. Fakty przeczą jednak legendzie.

WENECKI DIABEŁ

W drugiej połowie XIV wieku panem na Wenecji był Mikołaj z Chomiąży, z rodu Nałęczów, naczelny sędzia Wielkopolski i czasowo kasztelan nakielski. Pisane świadectwa dowodzą, że wyrokował sprawiedliwie i z rozmysłem. Parokrotnie sprawował swe funkcje w obecności króla Władysława Jagiełły i jego małżonki Jadwigi. Prawdą jest, że nieraz wytaczał procesy przeciw samowolnym wielmożom, którzy zwłaszcza podczas głośnej „wojny domowej" między Grzymalitami i Nałęczami poczynali sobie nader śmiało. Mikołaj z Chomiąży miał konflikt nawet z arcybiskupem, toteż ludzi nieżyczliwych mu było bardzo wielu. Z tego to właśnie środowiska wzięła początek niekorzystna opinia o nakielskim kasztelanie. Przetrwała ona w podaniach ludowych setki lat.

Mikołaj z Chomiąży zmarł w roku 1400. Po jego śmierci zamek przeszedł na własność arcybiskupa gnieźnieńskiego. Z biegiem czasu zamczysko zostało częściowo rozebrane. W końcu XIX wieku landrat żniński kazał pozostałe fragmenty budowli wysadzić w powietrze. Od tego czasu pozostały tylko malownicze szczątki, przyciągające turystów i archeologów. Ci ostatni znaleźli tu wiele ciekawych reliktów średniowiecznego budownictwa. (jk)

„Napiszcie o Jarosławie Saganie, który będąc żołnierzem podczas II wojny światowej, zbierał w Egipcie i innych krajach bliskowschodnich wszelkiego rodzaju dzieła sztuki i kultury".

J. Kurowski
Nysa, ul. Moniuszki 1
woj. Opole

SKARBY piasków PUSTYNI

PAN JAROSŁAW SAGAN mieszka w Krakowie. Przyjął mnie bardzo serdecznie i gościnnie, lecz wyraził obawę, czy warto pisać o nim — byłym żołnierzu — i tych starych dziejach... Rozmawiając z autorem telewizyjnego reportażu, red. Ryszardem Wójcikiem z Warszawy, który bardzo wnikliwie zapoznał się z działalnością pana Sagana, usłyszałam: „Ten zasłużony człowiek jest zbyt skromny — to jego wada".

Daleka droga

POD KONIEC WRZEŚNIA 1939 roku kustosz regionalnego muzeum w Drohobyczu, Jarosław Sagan, znalazł się w obozie internowanych na terenie Węgier.

— Musieliśmy oddać broń — opowiada. — Jedyną pociechą była wiadomość, że we Francji organizuje się polska armia. Za każdą cenę należało się wydostać zza obozowych drutów. Bezczynność nie jest dobrym doradcą — z naddunajskiej wierzby zacząłem strugać drewniane figurki zwierząt: tygrys, lew, żyrafa, bocian. Moim „zoologicznym ogrodem" zainteresował się Węgier — komendant obozu. Chciał te figurki kupić dla swoich dzieci. Ponieważ znałem język niemiecki, zaproponował mi pracę w kancelarii obozu. Zaczęła się konspiracja, miałem dostęp do dokumentów i pieczęci. O cywilne ubrania dla uciekających troszczył się wojskowy kapelan.

Pomogły nam także... susły. Gryzonie te stanowiły plagę tamtych okolic. Kopiąc nory, przerywały wały i umocnienia. Powiedziałem komendantowi obozu, że zrobię z tymi szkodnikami porządek, ale potrzeba mi paru wiader i zezwolenia na wyprowadzenie 8—10 ludzi. Otrzymałem przepustkę, poszliśmy za druty. Pierwsza grupa już do obozu nie powróciła... Korzystając z tego, że były dwie bramy, przeszedłem przez drugą sam i znów zabrałem ósemkę żołnierzy... Wartownicy nie wiedzieli, że to wracają inni ludzie, a my przynieśliśmy z sobą parę futerek susłów, które bardzo się komendantowi podobały. Szwarcowaliśmy tak naszych żołnierzy na potęgę. Ubrani po cywilnemu, zgłaszali się do naszej ambasady w Budapeszcie, a później wędrowali dalej. W niedługim czasie spośród ośmiu tysięcy internowanych zostało za drutami chyba ze 3 tysiące... Komendant Gambosz „przymykał" oczy, orientował się w naszych poczynaniach.

Wiosną nadeszła i na mnie kolej. Ja miałem pecha — uciekałem dwukrotnie! Ostatecznie znalazłem się na granicy węgiersko-jugosłowiańskiej. Trzy dni obserwowaliśmy, jak chodzi straż, by ją ominąć. Ciemną nocą przeszliśmy graniczny potok. W Belgradzie zapadła decyzja: kto jedzie walczyć do Francji, kto przedostaje się na Bliski Wschód. Otrzymałem przydział do Bejrutu.

Poprzez Grecję (w Salonikach przyjmował nas Agent nr 1, czyli Jerzy Iwanow-Szajnowicz) dotarliśmy do Turcji, następnie Syrii i przez Aleppo, Homs do Bejrutu. Radość i wzruszenie były wielkie, pod obcym i gorącym niebem ujrzeliśmy polskich żołnierzy z orzełkami na czapkach. Powstała Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich.

Sytuacja polityczna komplikowała się jednak i nam, Polakom. W Syrii internowanie zagrażało po raz drugi. Dowódca brygady znalazł się w areszcie domowym, my sypialiśmy z karabinami, gotowi na wszystko. W rezultacie przeszliśmy do Palestyny nad jezioro Genezaret.

Muzeum w plecaku

JUŻ W SYRII natrafiłem na stare monety i zacząłem zbierać co ciekawsze okazy przyrodnicze i geologiczne. Odzywała się we mnie żyłka kolekcjonera. Kieszeni w mundurze żołnierskim niemało, na razie moje skarby mieściły się w nich. Wkrótce zapełniła się puszka od maski gazowej (co nie było zgodne z regulaminem!). Łapałem motyle, preparowałem zwierzęta, w moim namiocie robiło się ciasno. Koledzy pokpiwali. Najgorzej było, gdy przerzucano nas z miejsca na miejsce. Jak te skarby zabrać? Liniowy żołnierz z bagażem?!

Któregoś dnia uwolniły mnie od tych kłopotów mrówki faraona. Jak wmaszerowały do namiotu, nie pozostało po eksponatach prawie nic! Postanowiłem zbierać trwalsze przedmioty.

Kiedy przesunięto nas pod Aleksandrię, podczas kopania umocnień w pustyni natrafiłem na pierwszą mozaikę. Sześć kolorów kamienia, geometryczny wzór — praca rąk ludzkich sprzed setek, może tysięcy lat. Rów dobiegowy miał przechodzić przez środek tego dzieła. Wykłóciłem się. Kopaliśmy obok. Mozaikę przysypał pustynny pył.

Po piaskowej burzy historia odsłaniała swoje oblicze — wystarczyło poruszyć patykiem, aby natrafić na monety z brązu czy srebra, oliwne lampki, pamiętające czasy dynastii Ptolemeuszy. Gdy nasypało piachu, ręką sięgałem czuba 10-metrowych palm. Kurz, upał, a ja każdą wolną chwilę spędzałem na wydzieraniu ziemi jej tajemnic. A to wlazła mi w ręce ceramiczna figurka, to część wykutej z brązu bransolety z cenniejszym widać od niej, bo cieniutkim fragmentem żelaza...

Przecież jednak toczyła się wojna... Na granicy libijsko-egipskiej stała armia włoska, padały pociski i bomby, a ja marzyłem, że te skarby zawiozę do Polski. Włoscy żołnierze nie mieli chęci do walki. Wystraszyli się ataku małych samochodów, które, aby groźniej wyglądały, zostały z zewnątrz obudowane. Z przedziurawionych rur wydechowych dobywało się potworne wycie! Dzięki temu „bojowemu" sprzętowi ćwierć miliona jeńców musieliśmy rozlokować po obozach... Towarzysząc transportom, miałem okazję rozejrzeć się dalej. Tam, gdzie buldożery równały teren pod lotnisko, wyłuskałem szczątki naczyń, amulety z ceramiki, figurki wyobrażające boginię Izydę lub Horusa z kobrą na głowie... Nawet nasyp kolejowy krył w sobie okruchy dawnej kultury. W wojsku wiedzieli już o mojej pasji.

Pod Tobrukiem

HITLER PODBIJAŁ NOWE KRAJE — szykowano nas na odsiecz Grecji. Sprzęt już odjechał, ale gen. Sikorski chciał oszczędzić Polaków; zostaliśmy w Afryce. W tym czasie wylądował tutaj niemiecki korpus ekspedycyjny gen. Rommla. Przerzucono nas morzem w kierunku Tobruku. Szczęśliwie omijając torpedy, cało dotarliśmy na miejsce, prosto pod ogień... Siedzieliśmy w dołach i dziurach pod ustawicznym obstrzałem nieprzyjaciela. Czołgi, artyleria, bomby. Za towarzysza miałem w swoim okopie węża i wcale mi nie przeszkadzał, we znaki dawały się za to pchły i kleszcze piaskowe. Cóż to za fatalne towarzystwo, gorsze chyba od kul!

Jedna manierka odsolonej wody morskiej starczyć mu-

siała na cały dzień do picia i mycia. Kiedy na mnie wyleciał zabłąkany osioł, mieliśmy wreszcie coś świeżego do jedzenia — najlepsze konserwy z trudem już przechodziły przez gardło. Zbieranina żołnierska — ogromna. 13 tysięcy żołnierzy odpierało 50 tysięcy Niemców i Włochów... Zostałem ranny. Poharatane nogi leczyłem w szpitalu w Aleksandrii, półtora miesiąca leżąc na wyciągu.

Z tarczą i na tarczy

PO POWROCIE do batalionu nie odnalazłem swoich zbiorów w komplecie, rozpłynęły się... Rozpaczając zacząłem gromadzić je od nowa. Otrzymywany żołd, papierosy, przydziały konserw, wszystko to dawało się przehandlować. Nawet podczas wojennych działań wokół kręcą się różne indywidua gotowe coś kupić i coś sprzedać. Okazyjnie nabyłem perską tarczę z XVII wieku, hełmy, nagolenniki, zbroje, broń białą wysadzaną srebrem, starodruki, papirusy, rzeźby. Cenny w Polsce unikalny łuk perski wytargowałem za bezcen.

Znając zwyczaje wschodnich kupców, pogardliwie kopałem przedmiot, na którym zależało mi najbardziej, lekceważąco wydymałem usta — robiło to wrażenie. Nie posiadając funduszów, musiałem się chwytać sposobów...

Ze Związku Radzieckiego (był już rok 1942) nadeszli żołnierze Andersa. Wśród nich — historyk sztuki, pani Zofia Kulczycka; nie byłem teraz ze swoją pasją sam. Ustawicznie mieliśmy jednak ogromne kłopoty z transportowaniem eksponatów. Skrzynie w taborze wojennym zawadzały. Ładowałem je razem z archiwum, błagając o bezpieczny kąt. Koledzy pomagali. Była to już oficjalna instytucja „Muzeum Polowe nr 1". Zaopatrzono mnie w pieczątkę z napisem w języku polskim i angielskim. W nazwie wojskowego muzeum nie mieściła się archeologia czy geologia, a ja gromadziłem przedmioty różnorakie. Mieliśmy wykopane spod piasku — mumię głowy czczonego przez Egipcjan ptaka ibisa, wyobrażenie świętych żuków — skarabeuszy. Najstarsze zrobione były z łupku, dla faraonów wykonywano je z lapis lazuli i agatu, mieliśmy figurki bóstw, które razem ze zmarłymi chowano do grobu, groty strzał, amulety. Każdy znaleziony przedmiot opisywałem dokładnie, aby potem w kraju wiadomo było, skąd pochodzi. Chciałem się także nauczyć różnych metod konserwacji starożytnych zabytków. Nawiązałem współpracę z muzeum w Jerozolimie i w Kairze, utrzymywałem łączność z naukowcami różnych dziedzin. Wymieniałem, sprzedawano mi po zniżonej cenie. Skrzyń było coraz więcej...

143 skrzynie

KIEDY WOJNA SIĘ SKOŃCZYŁA i polscy żołnierze z Bliskiego Wschodu mieli być przetransportowani do Anglii, 143 skrzyniom wojskowego muzeum, zawierającym kilkanaście tysięcy przedmiotów, groziło niebezpieczeństwo. Musiały być właściwie załadowane na statek nieoficjalnie... Jarosław Sagan dokonywał cudów dyplomacji, a nieraz... przekupywał angielskich strażników. W Anglii niebezpieczeństwo zaczęło skarbom zagrażać od nowa! Gromadzone z myślą o Polsce, miały pozostać w Muzeum Brytyjskim... Na szczęście stało się inaczej — dar żołnierzy z Bliskiego Wschodu dotarł do Polskiej Akademii Nauk w w Krakowie.

Dziś w Sali Muzeum Archeologicznego przy ul. Poselskiej wisi tablica z napisem: **„Pokaz zbiorów zebranych przez żołnierzy polskich w Egipcie podczas II wojny światowej"**. Nazwisko Jarosława Sagana nie figuruje na niej...

Dla siebie ppor. Sagan zostawił kilka drobiazgów i dokumentów. Z jednego z nich, opatrzonego podpisem ppłk. — kierownika archiwum — przepisałam kilka zdań. „Ppor. piechoty Jan Jarosław Sagan pełnił obowiązki kustosza i konserwatora Muzeum Armii Polskiej na Wschodzie. Jako żołnierz Karpackiej Brygady w Egipcie i Palestynie dał pierwsze zaczątki muzeum przyrodniczemu i archeologicznemu Armii Polskiej... W czasie całego swego pobytu skrzętnie gromadził wszelkiego rodzaju okazy muzealne, biorąc udział w pracach wykopaliskowych."

Były podporucznik Jarosław Sagan — członek ZBoWiD, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem za Tobruk, Gwiazdą Afryki i innymi odznaczeniami, ma dziś 68 lat i dalej pracuje społecznie. Jest przewodniczącym Klubu Przyjaciół Archeologii w Krakowie, radnym dzielnicy Stare Miasto, obecnie ślęczy od kilku tygodni nad starym papirusem, któremu potrzebna jest doświadczona, troskliwa ręka konserwatora.

ANNA GRZYBOWIECKA
Rys. J. Rocki

WOLNOŚĆ, SWOBODA

Karina poruszyła całą lawinę, nadeszło już ponad 350 listów. Jedni trzymają jej stronę, drudzy występują przeciwko żądaniu swobody. Zresztą, przeczytajcie!

TO JEST POMOC

● Karina żali się, że musi mówić rodzicom, na co wydała pieniądze, jaki oglądała film...

Uważam, że rodzice pytają się, co kupiła po to, aby nauczyła się rozsądnie wydawać pieniądze. A kto powinien jej powiedzieć, jaki ma wybrać film, co jest dla niej pożyteczne i wartościowe? Właśnie rodzice, ludzie posiadający doświadczenie życiowe.

Darek z Poznania

TO NIE PIES!

● Występuję przeciwko rodzicom Kariny, którzy postępują z nią jak z psem uwiązanym na łańcuchu!

Anka B. z Jeleniej Góry

ZMIANA

● Ja też przeżywałam podobny dramat w klasie siódmej. Wszystko się zmieniło, gdy zdobyłam się na odwagę i powiedziałam rodzicom, że stawiają mnie w kłopotliwej sytuacji pytając moje koleżanki o różne sprawy zamiast porozmawiać po prostu ze mną. Nie sądziłam, że to do nich dotrze, ale jednak dotarło. Mama jest obecnie moją przyjaciółką a tata najlepszym „kumplem", jakiego można sobie wymarzyć.

Elżbieta z Katowic

O CO TA WALKA?

● Nawet wtedy, gdy będziesz miała 19 lat i absolutną swobodę, dla rodziców zostaniesz malutką córeczką. Tak już jest.

Halina

BABCIA NIE DAJE ŻYĆ

● Mieszkam z mamą i babcią. Mamę mam bardzo dobrą, ale za to z babcią same kłopoty.

Moim hobby jest elektronika. Babcia nie rozumie moich zainteresowań. Najgorsze jest to, że potrafi przeliczyć wszystkie części, które gromadzę i jak tylko pojawi się coś nowego, urządza awantury. Trzeba dodać, że moja szuflada zamykana jest na klucz, a jak babcia ją otwiera, nie mam pojęcia! To jeszcze nie wszystko. Babcia potrafi oferować mojemu koledze 20 zł, żeby powiedział, czy całuję się z dziewczyną.

Mamie mówię zawsze prawdę, ale babci nie. Moje kieszenie są sprawdzane, cała ich zawartość jest przeglądana z drobiazgową dokładnością, babcia posiada dokładny odpis wszystkich adresów z mojego notatnika. Gdy tylko zaproszę do domu nowego kolegę, po jego wyjściu muszę babci wyrecytować cały jego życiorys, łącznie z numerem butów i kołnierzyka.

Może ktoś wreszcie znajdzie sposób na nadgorliwych opiekunów!

Wojtek

MIAŁAM WOLNOŚĆ

● Mam 16 lat. Kiedy przechodziłam „cielęce lata" też chciałam mieć absolutną wolność i swobodę. I miałam ją. Dostałam się w złe towarzystwo, zaczęłam palić papierosy, nauka poszła w kąt... Rodzice nic mi co prawda nie mówili, ale atmosfera w domu uległa zmianie. Już nie mogłam z nikim serdecznie porozmawiać. Wszyscy mnie unikali. Pewnego dnia doszło do wielkiej rozmowy z rodzicami. Postanowiłam się poprawić. Udało mi się to dzięki ich pomocy. Wstyd mi teraz, że byłam takim nieznośnym nastolatkiem, który chciał sięgać po swobodę i wolność nie znając życia.

Szesnastolatka z Bydgoszczy

ROZPACZ

● Moi rodzice nie pozwalają mi na żadne spotkania. Mam chłopca, którego bardzo lubię, ale obawiam się, że „dzięki" rodzicom i jego utracę. Poza nim nie mam nikogo! Żadnej przyjaciółki, ponieważ rodzice twierdzą, że młode towarzystwo prowadzi wyłącznie do alkoholu i tytoniu. Korespondowałam z koleżanką, lecz wkrótce mi i tego zabroniono.

Jedynym pocieszeniem w mojej sytuacji jest wspomniany już chłopiec. Nie wyobrażam sobie życia bez jego pomocy.

Maryla

KTO KOGO TU GNĘBI?

● Karina to człowieczek o małej wartości moralnej „Zatruwa" powietrze i źle wpływa na swoich rówieśników. Taki 14-letni niedorostek nie może gwarantować niczego dobrego.

Jakich praw i swobody domaga się owo „stworzonko" idąc z koleżanką do kina, bo przecież swobodę ruchów i wyżycia się posiada?!

Uważam, że wyliczanie się z kieszonkowego jest jej obowiązkiem. Młodzież powojenna nie zna, niestety, wartości pieniądza — z wyjątkiem nielicznych. Już sam fakt, że rodzice „smarkatych" pozwalają w ogóle włóczyć się im bez opieki i do tego z chłopcami świadczy, że wolności i swobody wcale im nie brak.

Ta Karina dzieckiem już nie jest, człowiekiem dorosłym też nie, koleżanka z niej żadna, ani na żonę, ani na pracownika nie będzie się nadawać.

Ja bym takie jednostki kierował natychmiast do pracy. Niech choć przez miesiąc popracują owi „bananowcy" jak ludzie dorośli! Może wtedy pojmą, że to oni są gnębicielami swoich rodziców.

„Młodszy od dziadka" — Piła

A jakie jest Wasze zdanie w tej sprawie? Po czyjej stronie leży słuszność? Napiszcie!

Napiszcie i o tym, jak chcielibyście wykorzystać wolność i swobodę. Klub Nastolatków czeka. Na kopertach nie zapomnijcie zaznaczyć tytułu dyskusji: „Wolność, swoboda".

Oprac. R. JABŁOŃSKA

KW

NASI ULUBIEŃCY

Zdzisława SOŚNICKA

W PLEBISCYCIE Popularności Kuriera Polskiego za 1971 r. zdobyła I miejsce i nagrodę Złotego Gwoździa sezonu. Uzyskała 106.930 punktów, co jest rekordem niebywałym.

Zdzisława Sośnicka zdobyła sławę niemal błyskawicznie — choć czekała na nią całe lata. Śpiewała bodajże 8 lat nie zauważona i nie doceniana, aż nagle stała się gwiazdą.

Przyszedł Festiwal w Opolu 1971; wprawdzie Sośnicka nie uzyskała nagrody za piosenkę „Dom, który mam", ale wywołało to taki protest publiczności i prasy, że piosenkarka mogła czuć się zwycięzcą moralnym. Potem był Kołobrzeg z Festiwalem Piosenki Żołnierskiej. Tam już Sośnicka stała się najsłynniejszą laureatką tej imprezy.

Wywiady, gratulacje, fotosy, propozycje nagrań, wyjazdów zagranicznych. I wreszcie Sopot! Sukces międzynarodowy za piosenkę „Dom, który mam", tę samą, która nie zdobyła uznania w Opolu.

Dziś Zdzisława Sośnicka jest nie tylko ulubienicą publiczności, ale też zyskała uznanie znawców muzycznych. Wysyłana przez „Pagart" na ważniejsze zagraniczne festiwale piosenkarskie odnosi tam sukcesy.

Oto co piosenkarka mówi o początkach swojej kariery:

Muzykalna rodzina

TATA MÓJ w młodości przez wiele lat śpiewał w chórze wileńskim, a mama gra dobrze na pianinie. Ja i moja młodsza siostra Ewa odziedziczyłyśmy po rodzicach muzyczne zamiłowania. Ona, tak jak i ja kiedyś, znajduje się obecnie w Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu i próbuje śpiewać w środowisku studenckim.

Matematyka... fizyka, czy...?

W SZKOLE ŚREDNIEJ oprócz muzyki interesowałam się także... matematyką. Chciałam po zdaniu matury pójść nawet na wydział fizyki. Mimo tych myśli o wyborze zawodu w dziedzinie nauk ścisłych, równolegle ze szkołą średnią uczęszczałam do szkoły muzycznej, do klasy fortepianu.

Po maturze wybrałam jednak studia w Wyższej Szkole Muzycznej. Nie na wydziale fortepianu, gdyż tam nie było miejsc, a na wydziale dyrygentury chóralnej.

Dyplom zdany... śpiewająco

NA STUDIACH oprócz poznawania utworów Monteverdiego, Beethovena, Chopina, Griega (koncert fortepianowy Griega grałam zresztą na egzaminie w szkole średniej) — był także czas na śpiewanie. Robiłam to z przyjemnością występując w studenckim teatrzyku „Nurt". Najmilej z tamtego okresu wspominam ballady Bułata Okudżawy i romanse Wertyńskiego.

Upragniony dyplom zdobyłam w 1968 r. dyrygując na koncercie chóralnym Pieśniami Kurpiowskimi Szymanowskiego i Ave Verum — Mozarta.

Miałam już w tym czasie także uprawnienia estradowe w śpiewie, gdyż zdałam egzamin weryfikacyjny przed komisją w Warszawie.

No i tak się zaczęło...

JESZCZE W CZASIE STUDIÓW zdobyłam I nagrodę na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. Później uzyskałam tytuł najlepszej piosenkarki studenckiej roku 1966.

Nie były to jednak moje dobre czasy. Wtedy jeszcze nie dobierałam starannie repertuaru. Śpiewałam wszystko „jak leci": piosenki literackie, kabaretowe, jazzowe i beatowe. To był oczywiście błąd.

Dziś śpiewam tylko takie piosenki, które mi odpowiadają i dają twórczą satysfakcję. Takie, które są pełne ekspresji, ale i lirycznej poezji.

*

Zdzisława Sośnicka wyjedzie wkrótce na Festiwal do Japonii. Reprezentowała niedawno Polskę w NRF, Cannes (Francja) i Wenezueli. Nagrała swój pierwszy long-play. Występuje na koncertach estradowych w całej Polsce. Wszędzie witana jest niezwykle serdecznie.

Z prywatnego życia pani Zdzisławy wyjawię kilka ciekawostek: uprawia pływanie i gimnastykę. Dużo czyta, zwłaszcza swych ulubionych pisarzy: Hemingway'a, Steinbecka, Faulknera i wiersze Staffa. Uwielbia gotowanie i pieczenie ciast.

Mąż pani Zdzisławy twierdzi, że najlepiej udają się jej „serniki wiedeńskie". Z okazji świąt życzymy kulinarnych sukcesów i dalszych piosenkarskich laurów.

A. WIELGOŁAWSKA
Foto: K. Sędzikowski

NA NARTACH

Nikt przed nami nie ryzykował tak długiej wędrówki po śnieżno-lodowych bezdrożach Arktyki na... nartach. Mieliśmy więc być pierwsi. Wyposażeni zostaliśmy we wszystko, co tylko może być człowiekowi potrzebne w tych szerokościach. Ale czy podołamy trudom, czy wytrzymają nasze organizmy?

Tego nikt nie wiedział, nawet lekarze różnych specjalności, którzy nas gruntownie badali.

Nasza sportowo-naukowa ekspedycja liczyła sześć osób: inż. Gienadij Kuroczkin, pracownik naukowy Borys Liubimow, aspirant Leonid Margolis, kandydat nauk Jurij Chmielewski, Dmitrij Szparo i ja, jako dziennikarz.

*

Niewielki samolot lotnictwa polarnego przerzucił nas na archipelag Północnej Ziemi. Nieprzyjaźnie przywitała nas Arktyka. Już na pierwszych kilometrach zaczął dąć silny wschodni wiatr. Takiej gwałtownej zamieci nikt z nas jeszcze nie widział. W ciągu dwóch dni przeszliśmy zaledwie 6 km.

Często organizujemy postoje. Narty ustawiamy tak, aby zasłaniały nas od wichru, a sami kładziemy się na śniegu. Ale niedługo można tak wypoczywać, nie pozwala na to dotkliwy chłód.

Rys. M. Teodorczyk

Jeszcze gorsze są noce. Aby wejść do śpiwora, trzeba zdjąć sztormowe ubranie, które wkrótce zamienia się w grzechocący pancerz.

Upłynęło dopiero parę dni, a my mamy już wszystkiego dość. W ciągu dnia, jeśli nie dokucza nam zamieć, to oślepiające słońce, na które niewiele pomagają nawet bardzo ciemne szkła okularów. W nocy dla odmiany otacza nas biała mgła, mgła tak gęsta, jak mleko. Idziesz i potykasz się co krok, przewracasz...

*

Zamieć skończyła się nieoczekiwanie w nocy. Przebudziła nas niezwykła cisza. Tu, w Arktyce, do wielu rzeczy trudno przywyknąć. Nie uwierzycie, ale właśnie cisza jest tym niezwykłym stanem przyrody, który tak samo daje się we znaki, jak śnieżyca czy mróz. Od tej ciszy aż bolą uszy. Jeśli nie wieje wiatr i nie skrzypią nasze narty, to cisza jest absolutna. Słyszysz tykanie ręcznego zegarka u

ODZIEDZWANY PRZEZ WANT

bieg

OD SAMEGO STARTU biegli zwartą grupą. Szeroki leśny trakt sprzyjał tym, którzy chcieliby oderwać się od rywali, zaatakować. Jednak żaden z zawodników nie chciał wysunąć się na czoło licznej grupy sportowców, każdy oszczędzał możliwie maksymalnie swoje siły. Biegi przełajowe wymagają przecież sporo energii, umiejętnego rozłożenia wysiłku, dlatego nikt nie próbował „szarpać się" już teraz na początku.

Siedemnastoletni Andrzej Zacłona trzymał się środka biegnącej gromadki. Z bogatego doświadczenia wiedział, że dopiero po minięciu półmetka grupa zacznie „pękać"; silniejsi, bardziej odważni będą starali się utworzyć czołówkę, a następnie między sobą rozegrać finisz. Dlatego też Andrzej biegł spokojnie, bacznie kontrolując poczynania kolegów. Pomimo swojego młodego wieku nie był sportowym nowicjuszem, startował w wielu wyścigach, zarówno na bieżniach stadionów jak i w przełajach. Trenuje systematycznie od kilku lat, przemierza każdego dnia wiele kilometrów, wydeptując ścieżki w pobliskich laskach. Ciężko jest godzić zajęcia sportowe w LZS Nysa z wymogami ucznia Zespołu Zawodowych Szkół Rolniczych. Jednak ambitny chłopak uparcie dąży do wytkniętego celu. Pragnie zostać dobrym zawodnikiem bez zaniedbania się w nauce.

Przebiegli już sporą część trasy, na twarzach zaczynał pojawiać się grymas zmęczenia. W tyle pozostał wygodny trakt, a wąska leśna dróżka nie zezwalała na bieg w zwartej grupie. Rozciągnęli się więc w długi wąż, wyginający się na niezliczonych zakrętach.

— Tuż za stawem zaatakuję — pomyślał Andrzej i jeszcze raz analizował przygotowany przedtem plan walki. Bardzo pragnął wygrać te zawody, które były eliminacją do biegów wojewódzkich...

Nagle do jego uszu dotarł daleki krzyk, dochodzący od strony stawu. Odwrócił głowę i z przerażeniem dostrzegł jak jeden z malców, którzy ślizgali się na lodzie, znika nagle z pola widzenia. Pozostali w panice uciekli na brzeg. Cienka tafla lodu nie wytrzymała ciężaru chłopca... Bez chwili wahania Andrzej rzuca się w kierunku stawu. Wbiega na lód, ale ten łamie się pod jego nogami. Pomagając sobie rękami, walcząc z kawałami kry i lodowatą wodą, dociera wreszcie do miejsca tragedii. Wyciąga dłoń do wyczerpanego, trzymającego się krawędzi lodu malca. Ten jednak zanurza się pod powierzchnią wody. Wydobywające się pęcherzyki powietrza znaczą jego drogę w głąb toni.

Nie straciwszy zimnej krwi, Andrzej daje nurka i po chwili wypływa z przerażonym i oszołomionym chłopakiem. Pomaga mu wyjść na lód. Teraz sam ma kłopoty z wydostaniem się z pułapki. Cienka płyta lodu, zmiękczona marcowym słońcem, łamie się przy każdej próbie wyjścia. Ostre krawędzie kry kaleczą ręce. Rozgrzane podczas niedawnego biegu mięśnie zaczynają odmawiać posłuszeństwa w tej niesamowicie zimnej kąpieli.

W sukurs Andrzejowi przyszli koledzy, którzy dostrzegli jego zmagania z żywiołem. Pomogli mu wydostać się na brzeg. Zacłona zrzuca z siebie ociekający wodą dres, chce kontynuować bieg. Ale sędziowie słusznie nie zezwalają na ukończenie konkurencji.

— Straciłem niewiele czasu, mogę wszystko nadrobić, chcę wyjechać na zawody wojewódzkie — tłumaczył gorączkowo działaczom.

— Za swój czyn pojedziesz do Opola — usłyszał odpowiedź. — Życzymy ci pomyślnego startu.

Opisywane wydarzenia rozegrały się rok temu. Andrzej stał się jednym z najbardziej popularnych sportowców na swoim terenie. Nadal pilnie trenuje. Za bohaterską postawę dyrekcja szkoły przyznała mu nagrodę: wyjazd za granicę. Osiem dni spędził Zacłona w Leningradzie, był także honorowym gościem Memoriału im. J. Kusocińskiego w Warszawie. Został uznany najbardziej dżentelmeńskim sportowcem Polski w roku 1971.

— Nie dokonałem niczego nadzwyczajnego — powiedział dziennikarzom Andrzej. **— Udzielenie pomocy 5-letniemu chłopcu było moim świętym obowiązkiem.**

Zacłona pragnie pójść w ślady Janusza Kusocińskiego. Wie, że osiągnięcie tego nie jest sprawą prostą. Ale jest dobrej myśli: uporczywym i sumiennym treningiem można zdobyć wszystko.

Życzymy Ci, Andrzeju, by spełniły się twoje marzenia.

Z. PRZYBYŁOWSKI

Rys. M. Teodorczyk

PO BEZDROŻACH ARKTYKI

kolegi stojącego w odległości kilku metrów.

W tej otaczającej martwocie wciąż czekasz, że zaszeleści drzewo, zaśpiewa ptak, zawarczy jakiś motor, po prostu pragniesz jakichkolwiek dźwięków.

Lekarze — według poleceń których robiliśmy w czasie wędrówki różne medyczne eksperymenty — zainteresowali się tym naszym „pragnieniem" dźwięków. Okazało się, że to właśnie arktyczna cisza spowodowała, iż każdego ranka po przebudzeniu, zupełnie bezwiednie zaczynaliśmy śpiewać. A śpiewaliśmy przecież nie dlatego, że było nam wesoło.

*

Już drugi dzień idziemy korytem Lodowej rzeki. Jest to głęboki kanion, który miejscami zwęża się zaledwie do 2 metrów. Z lewej strony pionowe skały, z prawej — lodowe nawisy ze śniegiem. Niemal całkowicie przykrywają kanion niby dach. Przez cały czas idziemy cicho, czując ciągle nad głowami „wiszące" śnieżno-lodowe niebezpieczeństwo.

27 kwietnia, przecinając fiord Matusewicza wpadliśmy w pułapkę. W tym bowiem miejscu „zderzyły" się dwa lodowce, „spływające" z przeciwległych brzegów. W wyniku tego powstał nieprawdopodobny chaos, jeśli tak można określić ten krajobraz, poszarpany bryłami lodu, pełen załomów, dziur, głębokich rozpadlin, zamaskowanych często cienką warstwą śniegu. Wydaje się, iż żadna żywa istota tędy przejść nie może. Ale innej drogi nie ma. Na domiar złego pogoda znowu pogorszyła się, wiatr, biała mgła, zadymka.

Posuwaliśmy się bardzo wolno, tak jakbyśmy szli przez zaminowany teren. Wreszcie szczęśliwie wydostaliśmy się z matni. Była to najtrudniejsza część naszej wyprawy.

*

30 kwietnia obóz nasz odwiedził niespodziewany gość — biały niedźwiedź, król Arktyki. Zobaczyliśmy go w porę, nim zdążył podejść bliżej. Zaczęliśmy wymachiwać rękami, krzyczeć, żeby go odstraszyć, ale gdzie tam. Nic sobie z nas nie robił, jakbyśmy byli powietrzem. Nie spiesząc się szedł sobie prosto do obozu. A my, co tu dużo mówić, nie mieliśmy wcale ochoty na spotkanie. Kiedy niedźwiedzia dzieliło od nas mniej więcej 6 metrów, Gienadij Kuroczkin wystrzelił z rakietnicy, oczywiście na postrach, ponieważ w naszym kraju niedźwiedzie polarne są pod ochroną. Na szczęście nasz gość nie wiedział, że nie mamy zamiaru robić mu krzywdy. Przystanął, ale wcale nie miał ochoty uciekać. Mieliśmy z nim sporo kłopotu i straciliśmy dużo nabojów nim wreszcie „misio" zdecydował się nas opuścić.

*

Ostatnie kilometry postanowiliśmy przebyć według następującego rozkładu: o 7 rano — obiad, później 15 godzin marszu, następnie gorąca kolacja i 7 godzin snu. Dziwić może ten harmonogram, gdyż nie jest dopasowany do dobowego rytmu dnia i nocy. Ale tu w Arktyce o tej porze roku dzień trwa na okrągło, bo słońce nigdy nie zachodzi. Pojęcie doby jest więc sprawą umowną.

23 dnia naszej polarnej wyprawy ujrzeliśmy jednopiętrowe domki i maszty radiostacji na wyspie Gołomiannoj. Tak więc po przejściu na nartach ponad 500 km dobiliśmy do celu...

Fragmenty zapisów Władimira Sniegiriewa, uczestnika wyprawy na nartach do Arktyki przedstawił: ST. BOROWIECKI

MOJE TAJEMNICE

Zastałam Ankę szorującą jakiś dziwny korzeń, czy gałąź. Bardzo mnie to zaciekawiło, no bo na co komu taki korzeń i żeby go jeszcze myć?!

— Znalazłam w lesie, piękny, prawda?

— A na co ci to?

— Och, jak ty nie masz odrobiny wyobraźni, przecież to szalenie dekoracyjne, przystroję go baziami i będzie piękna dekoracja świątecznego stołu.

NIESPODZIANKA

— A ja zrobię świnkę z cytryny, wiesz? Oczy można zrobić z goździków, (tych do przypraw), ogonek z drucika owiniętego bibułką, a nóżki z zapałek; świnka będzie urocza i taka śmieszna!

— To wspaniale, nasze stoły świąteczne będą zupełnie inne, no i jaka niespodzianka dla rodzinki!

Kuba

PODRÓŻ DOOKOŁA ŚWIATA

Średniego wzrostu, krępy, o czarnych oczach i czarnej brodzie przetykanej srebrnymi nitkami, mężczyzna idzie przez salę tronową, lekko utykając. To pamiątka po ranach odniesionych podczas walk w służbie korony portugalskiej w Indiach i Afryce. Ferdynand Magellan, wspaniały żołnierz i żeglarz, mając 24 lata uratował na Malakce flotę portugalską. Teraz, zgięty w ukłonie przed tronem króla Manuela, wypowiada trzy prośby:

— Najjaśniejszy panie, czy mogę uzyskać podwyższenie mojej renty?

— Nie.

— Miłościwy panie, nie chciałbym pozostawać bezczynny. Choć odniosłem rany, mogę jeszcze służyć ojczyźnie. Czy nie znalazłoby się dla mnie stanowisko na morzu lub w jakiejś posiadłości?

— Nie.

— Czy najjaśniejszy pan miałby coś przeciwko temu, gdybym przyjął służbę w obcym kraju?

— Nie.

Nie znalazłszy zrozumienia u własnego króla, Magellan udał się do Hiszpanii. Tam urzekł młodego króla Karola V obietnicą dotarcia do wysp Moluki w archipelagu indonezyjskim, zwanych Wyspami Korzennymi. Zawładnięcie tymi wyspami bogatymi w korzenie i różne cenne surowce nie groziło konfliktem z Portugalią, ponieważ leżały one w części świata przyznanej Hiszpanii bullą papieską. Co więcej, można do nich dotrzeć płynąc na zachód przez przesmyk w nowo odkrytym kontynencie amerykańskim, a gdzie on się znajduje — Magellan ponoć wie.

Król Karol V po gruntownym rozpatrzeniu przyjął propozycję Ferdynanda Magellana. Plan wyprawy został opracowany wspólnie z astronomem portugalskim Ruy de Faleiro. Tuż przed odpłynięciem flotylli Karol V udzielił posłuchania młodemu Włochowi rodem z Vecenzy.

— Najjaśniejszy panie — powiedział Antonio Pigafefta — proszę o honor należenia do ekspedycji admirała Magellana. Chciałbym ją bowiem opisać.

Gdyby nie ów Włoch, bylibyśmy pozbawieni pisanego na gorąco opisu epopei Magellana.

*

20 września 1519 r. z portu San Lucar wypłynęła flotylla złożona z pięciu karawel: „Trynidad", „San Antonio", „Santiago", „Conception" i „Victoria", którą dowodził Magellan. Załoga liczyła 265 ludzi, w tym specjalistów ze wszystkich potrzebnych dla żeglugi dziedzin, jak kartografia, astronomia i różne umiejętności wojskowe.

W grudniu flotylla minęła Rio de Janeiro, a w pierwszych dniach stycznia osiągnęła ujście La Plata. Po żmudnych badaniach ujścia rzeki, po buntach załóg statków, po przezimowaniu na krańcu Patagonii, podróżnicy pożeglowali dalej, badając wszystkie zatoki. I oto cierpliwość została wynagrodzona: 21 października 1520 r. flotylla przepłynęła przez cieśninę i wydostała się na ocean, któremu właśnie wówczas, w odróżnieniu od stale wzburzonego Atlantyku, nadano nazwę Oceanu Spokojnego (Mar Pacifico). Cieśninę Magellan ochrzcił imieniem Wszystkich Świętych, jednak wkrótce potem otrzymała ona imię odkrywcy.

Pierwsza morska wyprawa Kolumba trwała zaledwie 33 dni, a zapasów na pokładzie było na rok. Kiedy Magellan wpłynął na Pacyfik, minął rok od opuszczenia brzegów Hiszpanii, z zapasał mu w testamencie wolność i sporą sumę.

— Zapytaj ich o nazwę tej ziemi — powiedział Magellan do swego wiernego Enrique. Niewolnik zwrócił się do przybyłych po malajsku. Zrozumieli! Enrique powrócił do swoich. Przywieziony niegdyś do Hiszpanii ze wschodu, wrócił na Malaje od strony zachodniej. A więc pierwszym człowiekiem, który odbył podróż dookoła świata, nie jest Europejczyk, lecz malajski niewolnik...

Magellan pozawierał dla Hiszpanii z miejscowymi władcami kontrakty handlowe w zamian za opiekę mocarstwa hiszpańskiego. Wkrótce jednak doszło do zatargu między żeglarzami a kacykiem na wyspie Mactan. Magellan był doświadczonym żołnierzem, lecz miał jeszcze do opanowania bardzo trudną formę walki, która wypracowana została właściwie dopiero przez amerykańskie oddziały desantowe przy atakowaniu atoli będących w rękach Japończyków podczas II wojny światowej.

Oto łodzie admirała zatrzymuje rafa koralowa jeszcze w odległości dwóch strzałów z łuku

sów nie zostało nic, a żagle i osprzęt statków były zniszczone.

— Zawracać nie będziemy — powiedział Magellan na początku podróży. — Jeżeli zajdzie potrzeba, będziemy się żywili skórą z rei. I tak było. „Żeby nie umrzeć z głodu — notował Pigafefta — musieliśmy jeść kawałki skóry, które przy wielkiej rei zabezpieczają przed rwaniem się olinowanie. Były tak twarde, że trzeba było je zanurzać na cztery do pięciu dni w wodzie, żeby zmiękły.

*

W sto dziesięć dni po odbiciu od Ziemi Ognistej wyłoniły się na widnokręgu trzy wyspy pokryte zieloną roślinnością. Z jednej z wysp do statku przybyła piroga z ośmioma krajowcami. Na ich powitanie wyszedł u boku admirała malajski niewolnik, który wiedział, że Magellan zapiod plaży wyspy. Admirał w wodzie po pas rusza wraz z 40 ludźmi, bowiem muszkiety z łodzi nie donoszą do plaży. Magellan pada przeszyty strzałą i przebity 10 dzidami.

Do Hiszpanii dotrze już tylko jeden z pięciu statków, które wyruszyły z San Lucar tysiąc osiemdziesiąt dni wcześniej. Liczy owe dni Włoch Pigafefta. Z wyliczeń tych wynika, że jest środa. Okazuje się, że to jednak czwartek. Osiemnastu ludzi, którzy pozostali z 265, nie wie jeszcze, że okrążając kulę ziemską albo się traci, albo zyskuje jeden dzień, zależnie od kierunku, w jakim się płynie.

Ale świat już nie może wątpić, że Ziemia jest kulista. Znajduje to potwierdzenie w pierwszej w dziejach podróży dookoła świata.

Oprac. J. K.

Rys. M. Kościelniak

Korespondencja własna z Samarkandy

HISTORIA splątana z LEGENDĄ

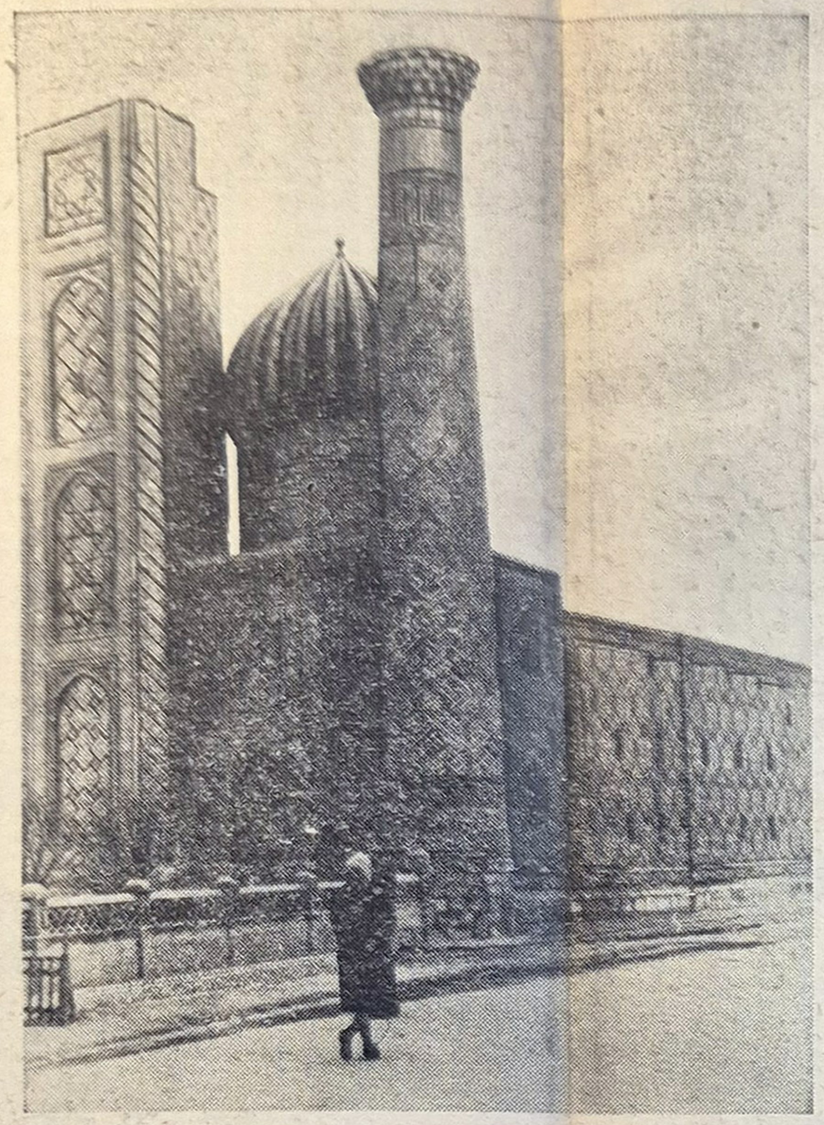

Fragment portalu medresy Szir-Dor na placu Registan, zbudowanej w XVII wieku. Napis na portalu mówi, że swą wysokością połączył on ziemię z niebem, a jego łuk niebo uznało za drugi księżyc.

NIGDY JESZCZE nie zetknąłem się oko w oko z takim bogactwem zabytków muzułmańskiego Wschodu jak tu, w Samarkandzie, w najstarszym mieście radzieckiego Uzbekistanu. Dosłownie mam wrażenie, że stąpam po historii.

Samarkanda obchodziła przed dwoma laty jubileusz 2500-lecia. Czasy jej świetności przypadają jednak na wieki średnie. Z tego okresu zachowały się — bajkowe w swych kształtach i barwach — meczety, medresy czyli średniowieczne uczelnie muzułmańskie, monumentalne mauzolea i inne budowle. Urok ich piękna potęgują opowieści, w których to, co wydarzyło się naprawdę, splątało się z tym, co — zdaniem potomnych — powinno było się wydarzyć. W scenerii baśni z tysiąca i jednej nocy musiały rodzić się legendy.

Świat nie zasługuje na to, żeby mieć więcej niż jednego władcę

PONIEWAŻ CHROMAŁ przeszedł do historii jako Timur Kulawy. W języku perskim brzmiało to: Timur Lang, co przekręcili Europejczycy i nazwali go Tamerlanem.

Powinien jednak był się zwać Timurem Okrutnym lub Krwawym. Pochodził z mongolsko-tureckiego plemienia Barłasów. Ponieważ był równie zdolnym wodzem jak bezwzględnym politykiem, wkrótce zawładnął prowincją Mawarannahr w Azji Środkowej i w 1370 r. ogłosił się jej emirem, co po arabsku znaczy władca. Za swoją rezydencję wybrał Samarkandę.

Jego życie stanowiło jedno pasmo wojennych wypraw. Podbił i włączył do swojego imperium Chorezm, Chorasan, Zakaukazie, Persję i Pendżab. Zagony jego wojowników docierały daleko w głąb Europy Wschodniej na tereny imperium Złotej Ordy, do Turcji, do Egiptu, do Delhi w Indiach, do Chin. Z każdej wyprawy do Samarkandy wracały wozy ze wspaniałymi łupami i wzięci do niewoli jeńcy.

„Świat nie zasługuje na to, żeby mieć więcej niż jednego władcę" — mawiał butnie. Z Samarkandy pragnął uczynić stolicę godną siebie jako tego jedynego władcy. Pomnikiem sławy Timura miały się stać wznoszone w tym mieście z jego rozkazu wspaniałe budowle.

Podziwiam ruiny meczetu Bibi-Chanum. Zachowała się znaczna część portalu, jeden z minaretów i fragment głównego budynku. Wysokość zachowanych fragmentów portalu sięga 33 metrów, czyli dzisiejszego dziesięciopiętrowego budynku. A był on jeszcze wyższy.

Meczet zawdzięcza swoje imię pierwszej wśród wszystkich żon Timura — Saraj-Mulk-Chanum, zwanej na jego dworze Bibi-Chanum.

I kolor mają inny, i smak mają inny

LUDOWA LEGENDA przedstawia Bibi-Chanum jako piękną chińską księżniczkę. W czasie jednej z wojennych wypraw swego męża postanowiła ona wybudować na jego przywitanie wspaniały meczet. Budowa ruszyła z wielkim rozmachem, ale po niedługim czasie tempo prac zaczęło słabnąć. Na próżno Bibi-Chanum przynaglała głównego architekta, jego myśli zaprzątnięte były czym innym. Zakochał się bez pamięci w pięknej władczyni i postanowił jak najdłużej przewlekać budowę.

Tymczasem przyniesiono wieści, że do bram Samarkandy zbliża się zwycięski Timur. Bibi-Chanum podejmuje jeszcze jedną rozmowę z architektem. Ten stawia warunek. Jeśli władczyni pozwoli się pocałować, skończy meczet na czas.

Żona emira się waha. Przychodzi do niego z tacą, na której leżą pięknie ozdobione pisanki, i ze swoimi dworkami, jedną piękniejszą od drugiej.

— Popatrz! — mówi wskazując na pisanki. — One tylko sprawiają wrażenie, że każda jest inna. W gruncie rzeczy wszystkie są takie same. I na moje dworki! Czy nie mógłbyś zakochać się w którejś z nich?

Architekt nie mówiąc nic wziął w rękę dwa puchary. Do jednego nalał wody, do drugiego wina.

— Popatrz i popróbuj! — powiedział. — I kolor mają inny, i smak mają inny.

Bibi-Chanum uznała się za pokonaną. Ale w momencie, kiedy zakochany architekt zbliżył się do niej, zasłoniła twarz ręką. Żar pocałunku był jednak taki, że poprzez dłoń wypalił jej znamię na policzku.

Timur zauważył to oczywiście i wpadł w gniew. Bibi-Chanum kazał żywcem zamurować w jednej z wież meczetu, a architekta strącić z minaretu.

W rzeczywistości budowę meczetu zainicjował sam Timur. Niedługo jednak po rozpoczęciu budowy wyruszył na kolejną wyprawę. Tymczasem Bibi-Chanum — jakby pragnąc współzawodniczyć z mężem — naprzeciw wznoszonego meczetu zaczęła budować medresę. Kiedy Timur powrócił z wyprawy, stwierdził, że portal medresy jest wyższy niż meczetu. Rozgniewany kazał stracić dwóch wielmożów odpowiedzialnych za budowę i przebudować portal. A więc jednak Bibi-Chanum coś tam nabroiła. W każdej legendzie jest trochę prawdy.

Naród — widać — dał wiarę legendzie, bo meczet do dziś dnia zwany jest Bibi-Chanum.

Kto naruszy mój spokój, wywoła wojnę

ZWIEDZAM KOMPLEKS MAUZOLEÓW Szachi-Zinda, co znaczy „żywy cesarz". Nazwa ta wiąże się z domniemanym groboweem Kusam-ibn-Abbasa, rodzonego brata proroka Mahometa. Przybył on podobno tu do Samarkandy w VII wieku i został zamordowany przez niewiernych. Kiedy go ścięto, miał dokonać cudu. Wziął w ręce swoją własną głowę i przez głęboką studnię zszedł do podziemnych ogrodów, gdzie żyje do tej pory.

Grobowiec Kusam-ibn-Abbasa zbudowano jednak dopiero pod koniec XI wieku, kiedy na tym terenie powstał cmentarz. I budowa mauzoleum, i ta trochę makabryczna przypowieść — były chytrym pomysłem mułłów, czyli muzułmańskich kapłanów, którzy pragnęli tym sposobem ściągnąć do Samarkandy tłumy pątników, a swoich wiernych utwierdzić w wierze.

W porównaniu ze stosunkowo skromnymi grobowcami z XI i XII wieku, ozdobionymi okładziną z jasnokremowej terakoty, zwracają uwagę swoim bogactwem mauzolea z XIV i XV wieku. Jeszcze jedno świadectwo świetności Timuridów. Podwójne kopuły nadają im bajkowy kształt, różnobarwna okładzina z majoliki — nie pozwala oderwać oczu. Chowano tutaj w tych latach żony i siostry oraz najbliższych towarzyszy wypraw Timura licząc, że bliskość mogiły brata proroka zapewni im protekcję na tamtym świecie.

Sam Timur został pochowany w mauzoleum Gur-Emir, co znaczy „mogiła zwycięzcy". Zaczął wznosić je jeszcze za swego życia dla najukochańszego wnuka, Muhammeda-Sułtana, poległego w czasie jednej z wypraw. Spoczął w nim obok niego pod sarkofagiem z ciemnozielonego nefrytu, a w grobowcu wyryto napis: „Kto naruszy mój spokój, wywoła wojnę". Pech chciał, że właśnie wiosną 1941 r. ekspedycja archeologiczna Akademii Nauk ZSRR dokonała otwarcia grobów Timuridów. Znaleźli się wśród starszych mieszkańców Samarkandy i tacy, którzy twierdzili, że właśnie to „świętokradztwo" spowodowało w czerwcu napaść Hitlera na Związek Radziecki.

Trud uczonych pozostanie na wieczne czasy

PO ŚMIERCI TIMURA rozgorzała w jego państwie walka o władzę. Zwyciężył w niej syn założyciela imperium — Szach Ruch, który jednak przeniósł stolicę do Heratu. Rządcą Samarkandy został wnuk Timura — Uług-beg.

Wychowywał się on w kulcie swego wielkiego dziadka, ale chłopca przede wszystkim ciągnęło do ksiąg. Najbardziej pasjonowała go astronomia. Objąwszy rządy zaczął ściągać do Samarkandy najwybitniejszych uczonych z całej Azji Środkowej. Za rządów Uług-bega, który wkrótce uniezależnił swoją włodawę od ojca, Samarkanda stała się promieniującym centrum naukowym ówczesnego świata.

Za jego czasów zaczął przybierać kształt, w którym — dzięki pracom konserwatorskim, prowadzonym w latach władzy radzieckiej — dotrwał do dziś wspaniały plac Registan. Uługbeg wybudował na nim pierwszą z trzech medres. Wykłady z nauk ścisłych prowadzili w niej ściągnięci do Samarkandy uczeni, a bywało, że i on sam stawał za katedrą. Na innej medresie, zbudowanej w Bucharze, kazał wypisać świętokradczą — jak na one czasy — sentencję: „Dążenie do wiedzy — obowiązkiem każdego muzułmanina i muzułmanki".

Ale najwspanialszym pomnikiem jego rządów było zbudowanie w Samarkandzie obserwatorium astronomicznego tej miary, jakiego drugiego nie było wówczas ani na Wschodzie, ani na Zachodzie. Długość łuku sekstansu, wynosząca 63 metry — mówi sama za siebie. Tutaj nocą, kiedy miasto spało, spędzał z uczonymi długie godziny. Powstały w ich wyniku tablice gwiazd Uług-bega. Fakt, że w wyliczeniu długości roku gwiezdnego pomylił się o niecałą minutę — stanowi świadectwo dokładności tych pomiarów.

Nauka była jego największą pasją życia. „Religia rozprasza się jak mgła, cesarstwa przemijają, a trud uczonych pozostaje na wieczne czasy" — mawiał Uługbeg.

Było to jednak zbyt odważne wyznanie rzucone tym, którzy nie umieli patrzeć tak daleko jak on. Po czterdziestu latach rządów mułłowie doprowadzili do jego obalenia i zamordowania. W nienawiści do nauki i postępu chcieli zniszczyć wszystko, co pozostało po Uług-begu.

*

Spaceruję wśród urzekających zabytków Samarkandy. Podziwiam ich egzotyczne piękno i nie mogę się oprzeć pewnej refleksji. Jakże podobne pomniki pozostawili po sobie: Timur — butny wojownik grabieżca, oraz Uług-beg — wielki uczony i humanista, mający odwagę przeciwstawić się swoim czasom. Ale to tylko pozorne podobieństwo. Koło historii potoczyło się przecież szlakami marzeń Uługbega.

JERZY MAJKA
Zdjęcia autora

Uliczka między mauzoleami w kompleksie Szachi-Zinda sprawia zupełnie bajkowe wrażenie. Na pierwszy rzut oka trudno powiedzieć, czy to pałace czy to grobowce. A właściwie to ulega się wrażeniu, że ktoś zapomniał sprzątnąć dekorację do filmu.

Na dalszym planie: lauch — marmurowa podstawa do wykładania gigantycznych rozmiarów koranu. Dawniej znajdowała się we wnętrzu głównego meczetu w kompleksie Bibi-Chanum.

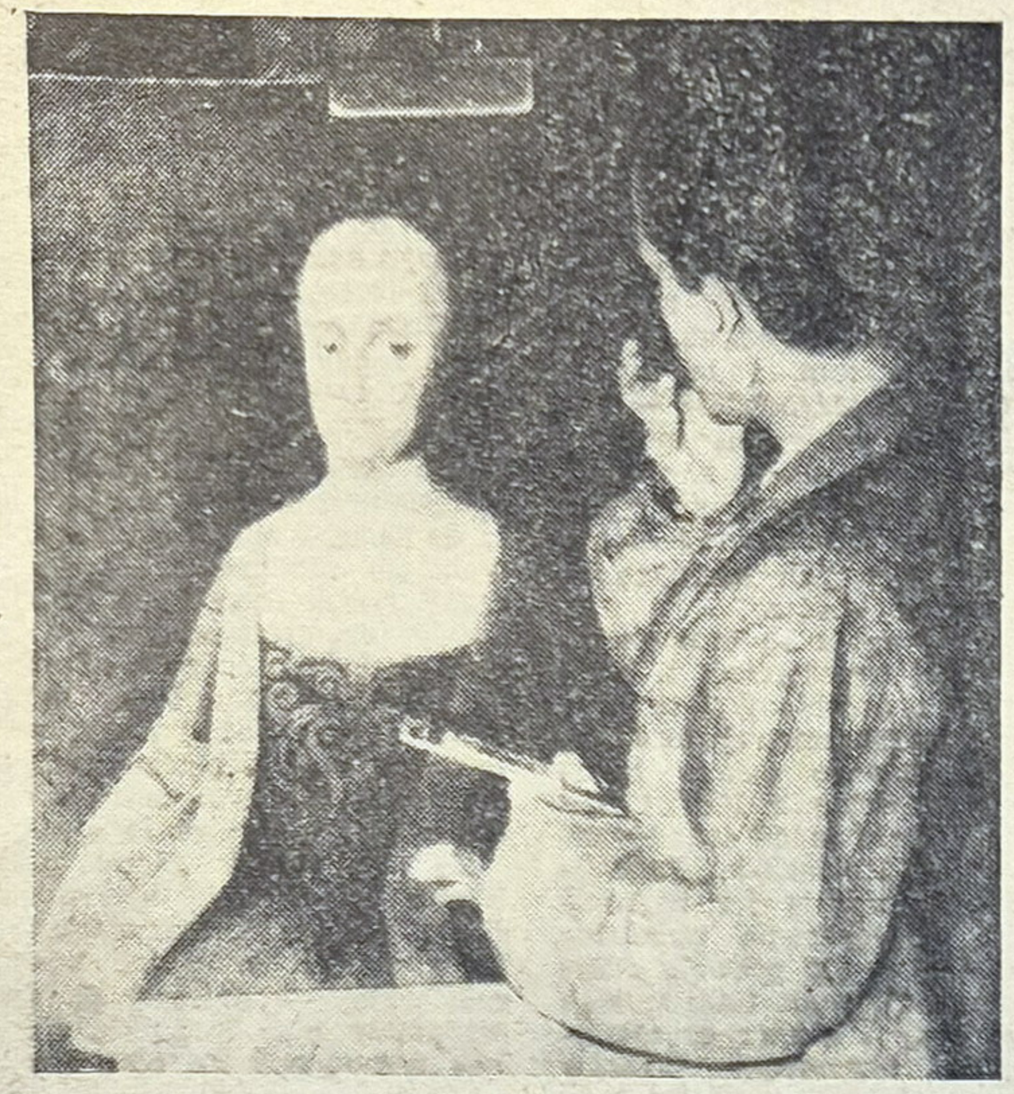

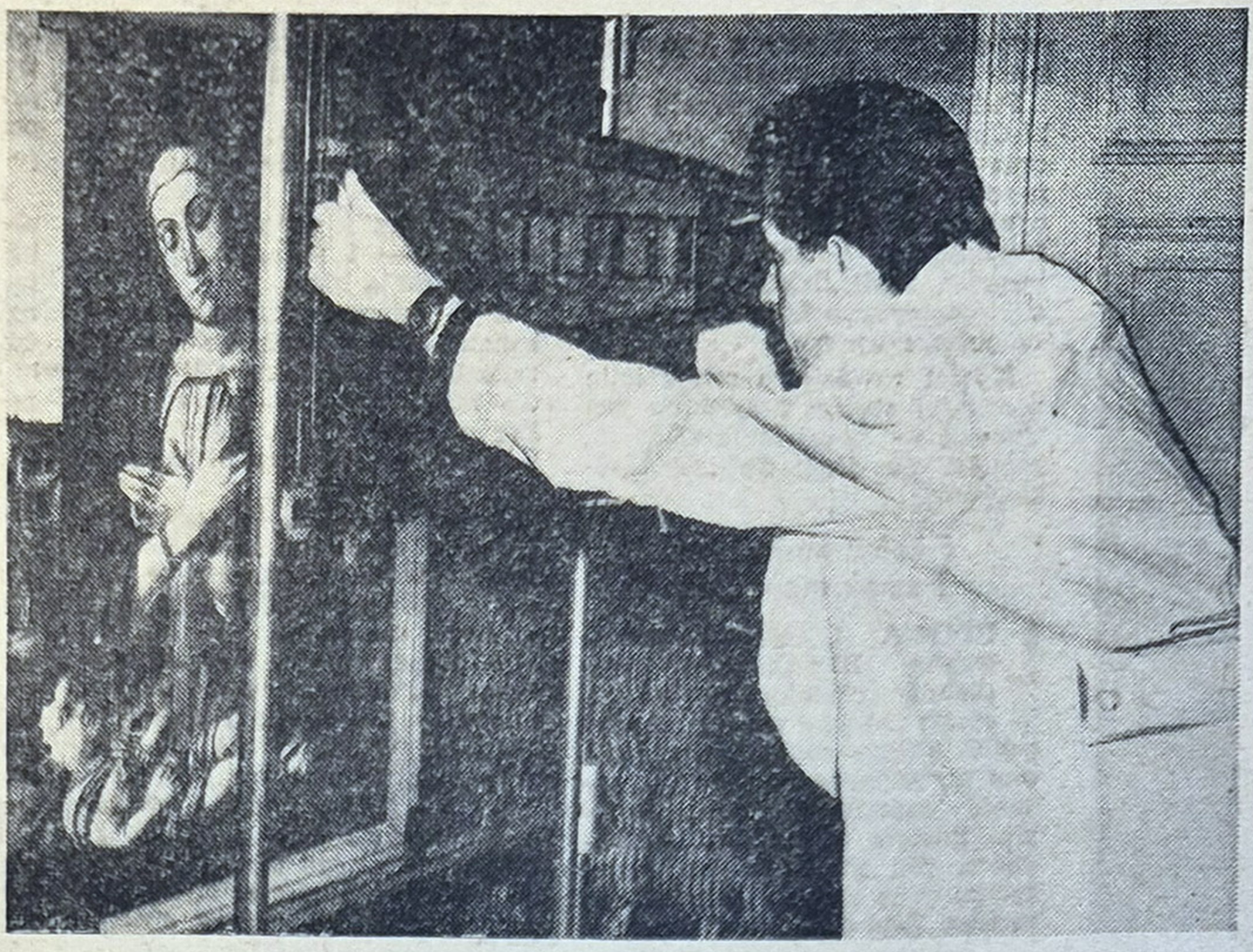

DAMA W podczerwieni

Klasyczny rzymski profil, biała cera. Tajemnicze spojrzenie, podobne może trochę do uśmiechu Mony Lisy. Czerwona suknia, ręka wysmukła, podniesiona nieco ku górze. To płótno nieznanego mistrza z XVIII wieku. Patrzę uważnie na obraz. Wygląda tak, jakby niedawno dopiero wyszedł spod ręki malarza. A przecież minęło od tego momentu ponad 200 lat. Stojący obok mnie mgr Norbert Szunke, kierownik Pracowni Konserwacji Zabytków, mieszczącej się na zamku w Szydłowcu, patrząc także na portret mówi:

— Jeszcze niedawno barwy nie były tak żywe. Obraz był przykryty warstwą kurzu, a znajdujące się pod nim kolory spłowiały od słońca. W niektórych miejscach farba nadkruszyła się odsłaniając płótno, również nadgryzione zębem czasu. No, ale teraz obraz jest jak nowy, prawda? To, oczywiście, zasługa konserwatorów. Zresztą, co się będę chwalił. Niech pan to zobaczy na własne oczy...

DAMA IDZIE NA PRZEŚWIETLENIE

Szydłowiecki zamek został niedawno odrestaurowany. Piękne sale, zabytkowe krużganki, wysokie łukowe sklepienia, atmosfera sprzed wieków. Idę pośród tej starej architektury i nie mogę nadziwić się kunsztowi dawnych mistrzów, wierząc, że może za chwilę stanę oko w oko z dawnym właścicielem zamku, kiedy mgr Szunke wprowadza mnie niespodziewanie do jednej z sal. A tu pryska nagle ten specyficzny nastrój dawnych czasów. Widzę wielkie, szerokie stoły, nad którymi, jak w szpitalnej sali, wiszą świecące jasno lampy bezcieniowe, oświetlające dokładnie każdy najdrobniejszy szczegół leżących pod nimi obrazów. A koło nich stoją w białych kitlach konserwatorzy. Pochylają się w skupieniu nad płótnami. Przed oczami trzymają powiększające szkła, a w rękach pędzelki, dłuta i rylce...

Stajemy przed aparatem Rentgena. Jeden z pracowników umieszcza w specjalnej klatce obraz, który ma być poddany w pracowni zabiegom konserwatorskim. Patrzę na ekran. Widać na nim coś, jakby negatyw wizerunku umieszczonego na płótnie. Obsługujący aparat konserwator mówi po chwili:

— Autentyk. Liczne uszkodzenia mechaniczne. Płótno nadwątlone. Trzeba dać dodatkowy podkład wzmacniający. Moja diagnoza: do gruntownej renowacji...

KIEDY JEDEN OBRAZ UKRYWA DRUGI

Mgr Szunke chce mi pokazać, co znaczy gruntowna renowacja. Bierzemy więc obraz ze sobą i przechodzimy do następnej sali. Tutaj piękna dama z XVIII wieku (inna niż ta widziana na początku) zostanie podświetlona promieniami podczerwonymi.

— Zanim zabierzemy się do właściwej konserwacji — mówi mój przewodnik — musimy dowiedzieć się o obrazie wszystkiego. A więc, ile warstw farby położono, czy pod często mało efektownym malunkiem nie kryje się coś cenniejszego. Zdarzało się bowiem, że chcąc ukryć jakiś szczególnie wartościowy obraz przed kradzieżą, przemalowywano jego powierzchnię i na przykład z pięknej mieszczki krakowskiej robiono wąsatego szlachcica, który nie był już tak cenny, jak dama widniejąca na płótnie uprzednio. W ten sposób wiele interesujących obrazów uniknęło rabunku w czasie wojen, a wiele nielegalnie przeniknęło we wcześniejszych latach przez granicę, ponieważ nie dysponowano ani Rentgenem, ani podczerwienią, która fałszerstwa te zaraz wykrywa. Odnajduje się teraz czasami obrazy, o których zapomniano, że je ktoś, kiedyś przemalował, i przywraca się im dawne oblicze. Przypadki takie są dość rzadkie, ale jakaż to frajda dla konserwatorów, gdy coś takiego się zdarzy...

My nie możemy poszczycić się podobnymi odkryciami, jednak i nam zdarzyło się już odsłonić jakiś niewidoczny do tej pory podpis, który ujawniał prawdziwego autora obrazu, albo datę ukończenia pracy.

O, proszę spojrzeć na portret tego mężczyzny z sumiastym wąsem. W czasie pracy nad nim okazało się, że obraz pochodzi z 1634 r., a oceniano go pierwotnie na początek XVIII wieku. Napis pojawił się dopiero po zdjęciu wierzchniej, zmatowiałej skorupy oleju...

A tu, proszę spojrzeć — jakiś herb. Jeśli w toku dalszych prac uda nam się ustalić dokładnie jego rysunek, może dowiemy się, kogo przedstawia praca anonimowego mistrza.

ODEJMOWANIE LAT

W szydłowieckiej pracowni obrazom i rzeźbom odejmuje się lata. Zabytki odzyskują swoją dawną świetność. Zanim to jednak nastąpi, „nasza" dama wędruje jeszcze do laboratorium chemicznego. Tu bada się skład farb, rodzaj płótna, odsłania się kolejne warstwy polichromii, czyli barw, jakie były nakładane jedna na drugą, gdy nadwyrężały je słońce i deszcz, albo gdy po prostu farba zaczynała odłupywać się ze starości.

W następnej sali obrazy wyjmuje się z ram. Jeśli ramy są ciekawe i cenne, poddaje się je także naprawie. Wykrawa się fragmenty stoczone przez korniki, wstrzykuje substancje konserwujące. Sam obraz zaś, gdy materiał, na którym powstał, jest szczególnie sfatygowany, wędruje na tzw. stół dublarzowy, gdzie przykleja się mu od spodu dodatkową warstwę płótna. Pozwala to na odzyskanie pierwotnej trwałości, bez uszczerbku dla dawnego kolorytu malowidła i struktury farb.

Ze stołu dublarzowego przenoszę wzrok na jeden z licznych tu obrazów. Dziwny jednak to obraz. Do połowy ma barwy dość żywe, intensywne, dalej — matowe, sczerniałe i nie tak wyraziste. Ale powoli cały obraz stanie się żywszy, bowiem jedna z konserwatorek żmudnie zdejmuje z niego warstwę werniksu, czyli pokostu, którym pokryto go kiedyś w celu nadania mu połysku i zabezpieczenia przed wpływami atmosferycznymi. Jednak po 350 latach pokost popękał, pokruszył się i przestał chronić farby od zniszczenia. Obraz powoli stracił swą barwność. Teraz natomiast, gdy trafi na sztalugi, na których uzupełni się ubytki farby i na nowo go wypokostuje, odzyska je na powrót.

15 TYSIĘCY ZABYTKÓW CZEKA

Obrazy i rzeźby — mówi mgr Szunke — starzeją się tak jak ludzie. Można je uratować, gdy trafią w nasze ręce. Ale to żmudna praca. Każdy obraz trzeba przecież zbadać milimetr po milimetrze. Trzeba naprawić wszystkie uszkodzenia, nawet te niewidoczne gołym okiem, gdyż mogą one stać się w przyszłości zaczątkiem dalszych uszkodzeń. Zwiedzający galerie starych obrazów mówią często: „Jaki ten obraz stary, a jak się trzyma!" Ale nie wiedzą, że przeszedł z pewnością przez pracownię konserwacji zabytków, gdzie odjęliśmy mu po prostu trochę lat...

*

W woj. kieleckim czeka na ratunek około 15 tysięcy starych obrazów i rzeźb o wielkiej nieraz wartości. Część z nich trafi do Szydłowca, aby później nadal cieszyć nasze oczy swym kunsztem. Więc jeśli kiedyś, stojąc przed jakimś starym dziełem sztuki stwierdzicie, że wygląda ono jak nowe, pomyślcie sobie, że było już na pewno w pracowni konserwacji zabytków, gdzie swą świeżość odzyskało dzięki nowoczesnej technice i mrówczej pracy konserwatorów. Także tych z Szydłowca.

WOJCIECH PIELECKI
Foto: CAF

WIOSENNE PORZĄDKI

KONKURS Z NAGRODAMI

Opracował: **Wacław Bisko**
Rysował: **Włodzimierz Lewiński**

Zanim zabierzecie się do wiosennych porządków, zróbcie mały trening. Na rysunku widzicie 21 przedmiotów, które trzeba uporządkować w następujący sposób:

1. Rzeczy zimowe wpisać do kuponu pt. „Szafa"

2. Rzeczy wiosenne wpisać do kuponu „Namiot"

3. Rzeczy jadalne wpisać do kuponu „Spiżarnia".

4. Rzeczy zbędne skreślić, to znaczy wynieść na śmietnik.

A zatem w każdym kuponie ma być 6 przedmiotów wpisanych w takiej kolejności, żeby litery i wyrazy znajdujące się pod rysunkami utworzyły trzy rymowane hasła. Kupon „Rozwiązanie konkursowe" z wpisanymi hasłami należy nakleić albo przerysować na kartkę pocztową i wysłać pod adresem redakcji do dnia 10 kwietnia.

Nagrody:

ROWER SKŁADANY, 5 PIŁEK SKÓRZANYCH, 5 KOMPLETÓW KOMETKI, 5 KOCHERÓW TURYSTYCZNYCH, 10 KSIĄŻEK.

-STKIE RZECZY

JEDZĄ WIO-

-TAMINY

MIEĆ CIEKA-

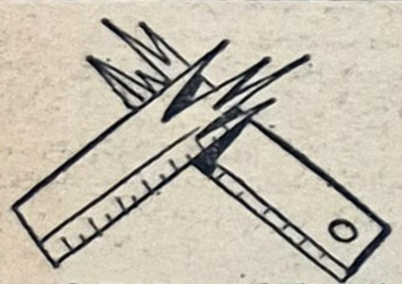

DZIEWCZYNY

-BEZPIECZYĆ

DZIEWCZYNY

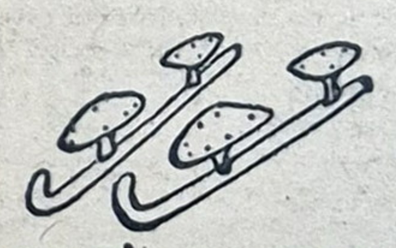

-WYŻSZY WSZY-

PRZED ZNISZCZE-

-NIEM ZA-

-WE, WALI

KTO CHCE

ŻYCIE

-BEZPIECZYĆ

-PCY i

CZAS NAJ-

WIOSNĄ NA

-WE, WALI

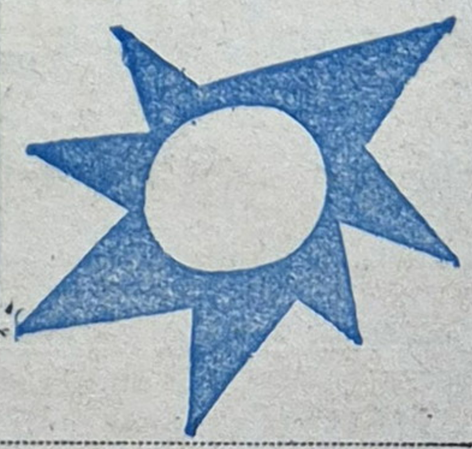

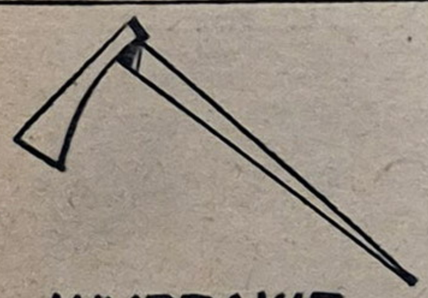

WYPRAWĘ

SNĄ WI-

WSZYSCY CHŁO-

SZAFA

1. _____
2. _____
3. _____
4. _____
5. _____
6. _____

NAMIOT

1. _____
2. _____
3. _____
4. _____
5. _____
6. _____

SPIŻARNIA

1. _____
2. _____
3. _____
4. _____
5. _____
6. _____

ROZWIĄZANIE KONKURSU
„WIOSENNE PORZĄDKI"

Hasło z „Szafy"

.....

.....

Hasło z „Namiotu"

.....

.....

Hasło ze „Spiżarni"

.....

.....

KUKURYKU

№1 GAZETA NIECO DZIENNA 1·IV·1972

Nasze całoroczne starania o wydanie dla młodzieży gazety w pełni nowoczesnej, informująco-mobilizująco-wytykająco-rozweselająco-porywającej zostały uwieńczone sukcesem!

Oto macie przed sobą próbny kawałek tej gazety. W całej naszej gazecie znajduje się aż 15 wesołych historyjek rysunkowych, 5 powieści rysunkowych, 6 odcinków kryminalnych, 8 krzyżówek-gigantów itd. Ponieważ „Kukuryku" nie ma jeszcze własnego papieru, korzysta na razie z gościnności „Świata Młodych".

JAN DRWINEK
Red. Nieodpowiedzialny

I TY MOŻESZ PRZYCZYNIĆ SIĘ DO ZMIANY KLIMATU

Podajemy apel Urzędu Meteoronielogicznego do wszystkich, którzy mają płuca o pojemności większej niż 1 litr:

W dniu 1 kwietnia o godz. 12.00 wychodzimy na dwór, ustawiamy się twarzą w kierunku północnym, trzykrotnie nabieramy powietrza i na sygnał hejnału z Krakowa silnie dmuchamy. Jeżeli ilość dmuchających będzie dostatecznie duża, powstanie ciąg powietrza o sile 2⁰ w skali Beauforta, o kierunku północnym. Na skutek wydmuchania chłodnego powietrza na jego miejsce zaczną napływać masy ciepłego powietrza znad Bałkanów, przyspieszając wiosnę w naszym kraju.

Czy eksperyment się udał, poinformuje Was o tym Wicherek w dzienniku wieczornym TV w dniu 1 kwietnia o godz. 19.30.

Wisła dwustrumieniowa

● **W najbliższym pięcioleciu królowa rzek polskich zostanie przedzielona pasem betonowym wzdłuż koryta. Prawą stroną będzie płynąć woda zatruta, lewą normalna. Problem zanieczyszczenia wód zostanie raz na zawsze rozwiązany.**

Gwoździe-bliźniaki

● **Wynalazł je młody inżynier z Trojakowa, p. Tadeusz Bijak. Przy wbijaniu gwoździ uderza się tylko w jeden gwóźdź, drugi bliźniak wchodzi sam. W skali krajowej daje to milionowe oszczędności na pukaniu.**

Podwójny gęg

● **W Instytucie Drobiu wyhodowano gęś o podwójnym gęgu. Gęś, mimo że obecnie dwa razy więcej gęga, nie zwiększyła wcale swej nośności. Sprawdza się przysłowie: „Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje".**

Wielka reforma mundurków starszo harcerskich

FRONTEM DO WSPÓŁCZESNOŚCI

ARSZAWA — OBSŁ. WŁ. W Wielkiej Sali Wydarzeniowej odbył się wczoraj pokaz wzorów nowych mundurów harcerskich. Każde ukazanie się na wybiegu druha-modela, było przyjmowane gromkimi oklaskami publiczności. Nie podano jeszcze oficjalnego werdyktu władz i nie wiadomo, które projekty zostały zaakceptowane do produkcji seryjnej. W przedstawionych modelach zarzucono tradycyjny staroświecki pogląd, że mundur ma być szary, z wielką ilością guzików i z nie wiadomo do czego służącymi kieszeniami. Współczesny harcerz ma się rzucać w oczy, być opływowy w kształcie i nieprzemakalny. Obok przedstawiamy parę nowych propozycji mundurków.

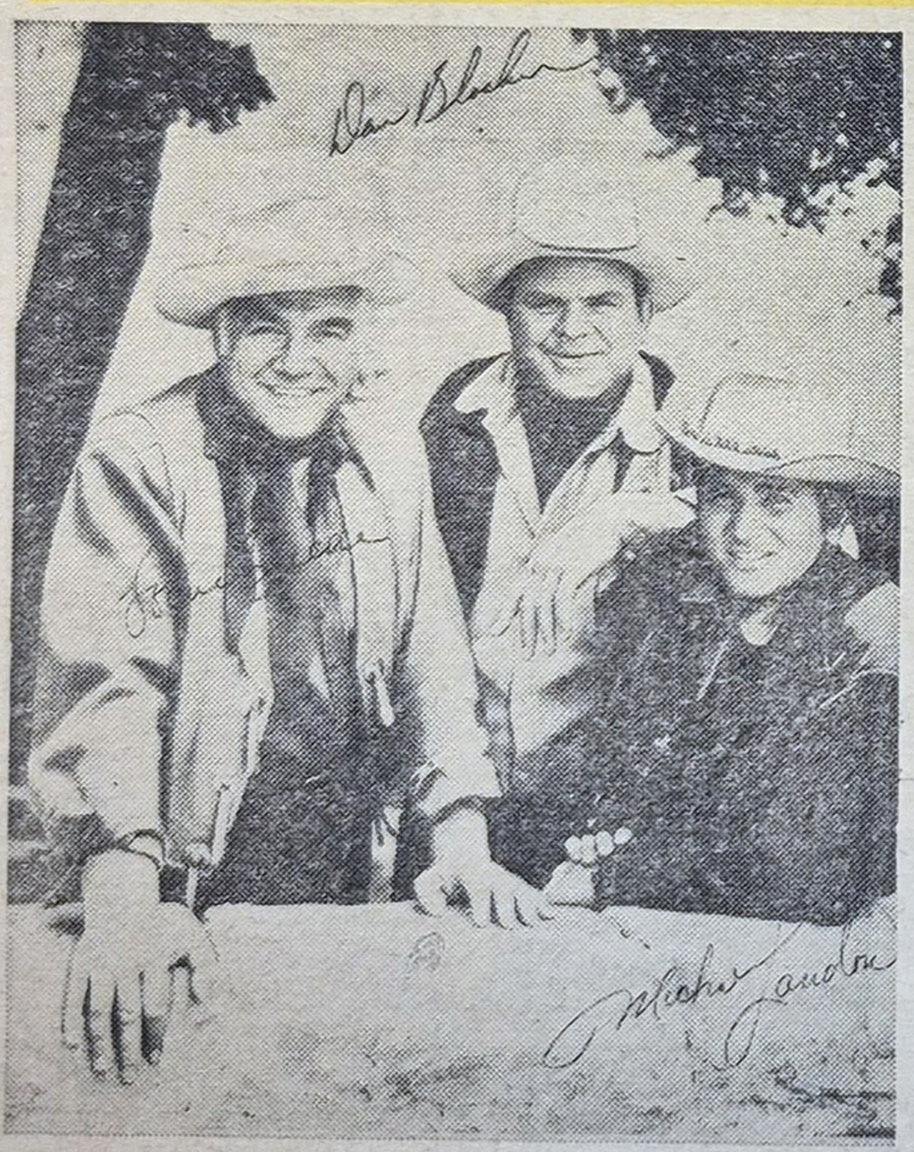

WSZYSCY WITAMY BONANZĘ

W dniu 1 kwietnia między godz. 9.20 a 21.30 na międzynarodowym lotnisku w Warszawie wyląduje samolot amerykańskich linii lotniczych Jumbo-Jet, którym przylecą bohaterowie serialu telewizyjnego pt. „Bonanza".

Organizatorzy, bojąc się natłoku, za naszym pośrednictwem informują, że na płytę lotniska oraz do zwiedzania samolotu będą mieli dostęp jedynie okaziciele karty wstępu.

KARTA WSTĘPU

Okaziciel niniejszej karty ma prawo do wejścia na płytę lotniska Warszawa—Okęcie, celem powitania bohaterów filmu „Bonanza", w dniu 1 kwietnia 1972 r.

Karta wstępu uprawnia również do zwiedzania samolotu Jumbo-Jet.

Druhny w mundurach dla drużyn w wieku rozwojowym. Buty, rękawice i czapki wykonane są z rozciągliwego plastyku, a wdzianka z wytłaczanego papieru. Kiedy wyrośnie się z wdzianek, można oddać je na makulaturę.

Dwadzieścia lat ukrywał się przed szkołą

TURYŚCI ze stołecznego klubu „Lisek" dokonali niezwykłego odkrycia w czasie ostatniej wędrówki przez uroczyska „Ptasiego Gaju". Jeden z nich, penetrując krzaki teleobiektywem w poszukiwaniu śmiałonóżki, natrafił wśród gałęzi na twarz chłopca. Zdziczałe spojrzenie zwróciło uwagę turysty. Turyści otoczyli uroczysko i osaczyli chłopca. Nie umiał on mówić, wydawał jedynie jakieś ptasie fiukania, świergotania i gwizdy. Trzeba trafu, że wśród turystów był znany ornitolog, który niedawno obronił pracę doktorską na temat: „Tiutiu, fi, fi, cip, cip — zwięzła gramatyka ptasiej mowy". Rozszyfrował on natychmiast dźwięki wydawane przez chłopca, które ten przyswoił sobie od ptaków w czasie 20-letniego ukrywania się w gaju.

— Kto ty jesteś, skąd się wziąłeś? — zaćwierkał ornitolog.

Chłopiec natychmiast odćwierknął: — Przed dwudziestu laty, mając lat siedem, uciekłem do gaju z obawy przed szkołą, a raczej programem szkolnym. Wie pan, te dziesiątki słupków z matematyki, te wiersze do kucia na pamięć w języku staropolskim, jak np. Pieśń 24 — Kochanowskiego...

— Jak to się stało, że przez 20 lat nie zmieniłeś wyglądu 7-letniego chłopca? — zaćwierkał ornitolog.

— Proszę pana, bez szkoły nikt się nie rozwija. Nie chodząc

Na zdjęciu druhna i druh z drużyny szperaczy eterycznych. Spodnie i kurtka ze sztucznej skóry w kolorze malinowym. Żółte pasy na nogawkach i piersiach oznaczają wykonywaną funkcję. Druhna w wielką klamrę pasa ma wmontowany magnetofon kasetowy.

A oto jeszcze dwa modele zimowe. Buty i pilotki ze sztucznej skóry, obszyte futrem farbowanym na jaskrawy kolor pomarańczowy. W całość wmontowane są przewody elektrycznego ogrzewania.

Mundurki drużyny wodniaków są jednocześnie pasami ratunkowymi. Kaski są nie tylko ozdobą głów, ale pozwalają również bezpiecznie pływać wśród kry.

Zamiast naramienników ze stopniami, projektanci proponują np. dla drużyny lotniczej noszenie miniatur samolotu, dla motorowej — modeli samochodów itd.

PRIMUS - LOTEK

Jeszcze jedna gra liczbowa dla nastolatków

● **Wzorem dobrze prosperującego Toto-Lotka została zorganizowana nowa gra pod nazwą Primus-Lotek. Grający z wymienionych 15 przedmiotów szkolnych typuje więc, stawiając stopnie w kratkach obok nazw przedmiotów. Na przykład: matematyka — 1; geografia — 5; przyroda — 3; język polski — 2; zajęcia techn. — 3; Grający wypełnia kupon i przesyła do redakcji Warszawa ul. Mokotowska 24, z dopiskiem na kopercie: „Primus-Lotek".**

Bierzcie wszyscy udział! Jedyna gra, w której nic nie płacisz, nic nie tracisz, a wygraną jest milionowa satysfakcja.

KUPON

Matematyka	
Fizyka	
Kaligrafia	
Chemia	
Gimnastyka	
Umuzykalnianie	
Zajęcia plastyczne	
Geografia	
Przyroda	
Higiena	
Zajęcia techniczne	
Język polski	
Język angielski	
Rolnictwo	
Kucharstwo	

do szkoły przez 20 lat, zatrzymałem się w rozwoju.

— Jak żyłeś przez te 20 lat w gaju?

— Gniazdo rodzinne zastąpiło mi gniazdo bocianie, które jedynie zabezpieczyłem od zimna i deszczu. Z piór utkałem sobie ubranie, pikowane mchem od strony północnej. Żywiłem się ptasim mleczkiem, kukułkami i syropem żywokostowym.

Lato było okresem najprzyjemniejszym. Wracały ptaki z ciepłych krajów, przywożąc nowinki ze świata.

— W zimie również przylatują do nas ptaki z krajów północnych — zakwilił ornitolog.

— Tak, ale one ćwierkają lodowatym akcentem niezrozumiałym dla mnie.

— Jakie miałeś największe przeżycie w ciągu dwudziestoletniego ukrywania się?

— Pewnego dnia przechodził drwal, z małego pudeleczka, które miał na pasku usłyszałem: „Kuku, kuku, odiridi, odiridiridi, ucha!".

— Ach, to była słynna „Kukułeczka" z Mazowsza — roześmiał się ornitolog.

Kiedy turyści chcieli zabrać chłopca do miasta, ten nie wyraził ochoty. Dopiero po ich zapewnieniu, że nastąpiła reforma szkolnictwa zgodził się wrócić do cywilizacji.

Jak żyją dzisiejsi Indianie?

ZNOWU NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

W LISTACH DO REDAKCJI wielu czytelników zasypuje nas pytaniami dotyczącymi życia i losów dzisiejszych Indian. Odpowiadamy garścią nowych informacji.

Indianie północnoamerykańscy znowu wkroczyli „na wojenną ścieżkę". W dziewięćdziesiąt lat po zakończeniu ostatnich starć zbrojnych z oddziałami „bladych twarzy" ruszają do walki. Inne są jej środki, ale cel ten sam: walka o swe prawa, walka o byt! 400 traktatów zawarł z Indianami rząd Stanów Zjednoczonych. Wszystkie one zostały złamane.

W ostatnich czasach Indianie podjęli szereg akcji przeciwko władzom stanowym. Oto fakty:

● **19 miesięcy okupowali Indianie wyspę Alcatraz w zatoce San Francisco i tylko wskutek podstępu udało się władzom ich stamtąd usunąć.**

● **25 Indian zajęło opuszczony posterunek graniczny na jeziorze Michigan i zapowiedziało, że nie opuszczą go, dopóki władze nie podejmą kroków w celu poprawy bytu ludności indiańskiej.**

● **Wódz plemienia Navajo na zorganizowanej w Waszyngtonie konferencji prasowej oskarżył władze, że nie mają zamiaru wywiązać się z poczynionych obietnic.**

● **Przedstawiciele plemion indiańskich powołali do życia organizację pod nazwą „Ruch Indian Amerykańskich". Jej głównym celem jest koordynacja akcji podejmowanych przez Indian w walce o swe prawa na terenie całych Stanów.**

To tylko niektóre z poczynań czerwonoskórej ludności, która pragnie odzyskać należne jej prawa. Przypomnijmy:

Spacyfikowanych Indian zamknięto w rezerwatach, wydzielając im najgorszą ziemię. Jeśli jednak okazywało się, że i ta ziemia kryje w sobie jakieś bogactwa naturalne (np. ropę naftową), usuwano ich stamtąd. Niewielu tylko plemionom udało się obronić przed zachłannością białych. Zamknięty w rezerwacie Indianin, demoralizowany jałmużnami, pozbawiony oświaty, nie był w stanie przeciwstawić się bezprawiu, któremu patronowały władze.

„Zabierano mu ziemię — pisał niedawno angielski dziennikarz — władze tolerowały jaskrawe bezprawie popełniane wobec niego. Indianin stał się ofiarą tyranii gospodarczej, stosowanej przez białych wyzyskiwaczy".

„W ubiegłym roku troje dzieci w rezerwacie Apaczów zmarło z głodu. Lekarze mówią, że na pewno zmarło ich więcej, tylko nie mogli tego stwierdzić" — pisał dziennik „Times". — Średnia długość życia Indianina wynosi zaledwie 44 lata. Przyczyną tego jest gruźlica, jaglica, choroby zakaźne, nędza. Roczny dochód mieszkańca wspomnianego rezerwatu wynosi o połowę mniej niż oficjalnie uznana granica nędzy. Bezpłatne rozdzielanie żywności nie zastąpi pracy, a tej w rezerwatach nie można znaleźć. Nie może też zapewnić utrzymania prymitywne rolnictwo, czy nie istniejący prawie przemysł.

Ludność indiańska liczy dziś w Stanach Zjednoczonych około 1 miliona osób. Nie wszyscy mieszkają w rezerwatach. Biuro do Spraw Indian utworzone przy departamencie spraw wewnętrznych rządu USA nie mogąc zapewnić osiadłej tam ludności ani pracy, ani jakiegoś ludzkiego bytowania, od lat zachęca do opuszczania rezerwatów i przenoszenia się do miast. Już ponad 300 tys. Indian przeniosło się w ostatnich latach do miejskich ruder.

Jeden z przedstawicieli plemienia Siouxów tak charakteryzuje wytworzoną sytuację: „Rząd maluje w pięknych barwach życie w miastach. Mówią ci, że jeśli przeniesiesz się tam, dostaniesz pracę, będziesz miał mieszkanie, szpital, pieniądze... Jeśli człowiek żył przez całe życie w rezerwacie, chwyta się takiej okazji".

A rezultat? Oddajmy głos amerykańskiemu tygodnikowi „Newsweek": „...W porównaniu z innymi grupami mniejszościowymi los Indianina przeniesionego do miasta jest bez porównania gorszy... Największa ilość samobójstw zdarza się wśród nich... Panoszy się alkoholizm. Zapalenie płuc i gruźlica zdarzają się wśród Indian pięć razy częściej niż u przeciętnego Amerykanina... Żywi się nędznie. Niewielu Indian posiada kwalifikacje mogące im zapewnić otrzymanie w mieście pracy".

Ostatnio Biuro do Spraw Indian poczęło wycofywać się z polityki przesiedlania ich z rezerwatów do miast. Przyczynił się do tego ruch, który zaczął rozwijać się wśród samych Indian, żądający przyznania im praw obywatelskich. Ruch podobny do tego, który ogarnął miliony Murzynów amerykańskich.

Nic nie wskazuje na to, żeby walka o prawo do ziemi ojców, o zapewnienie ludzkiej egzystencji, która w ostatnich latach objęła Stany Zjednoczone, miała osłabnąć. Przybiera ona coraz bardziej masowy charakter. Należy więc sądzić, że Indianie pozostaną „na wojennej ścieżce" dopóty, dopóki nie uzyskają należnych im praw.

Oprac. J. K.

PROTEST INDIAN

Sześć zawodowych i ponad trzydzieści amatorskich drużyn sportowych w USA nosi indiańskie nazwy. Najczęściej ich emblematy przedstawiają albo groźnego Indianina-dzikusa w barwach wojennych. albo też dobrotliwego Indianina-pijaczka pod działaniem ognistej wody. Ostatnio Indiański Ośrodek w Cleveland zaskarżył tamtejszą drużynę base-ballową „Indianie" o 9 milionów dolarów odszkodowania za tego rodzaju karykatury. (jk)

Rys. J. Rocki

Dziewczyna

JAN MACIEJ TYLICKI (3)

W niedzielę wstał późno. Otworzył okno. Pogoda w sam raz na spacer. Trzeba się jednak pouczyć tej historii. Z łazienki dobiegły go słowa partyzanckiej piosenki. To ojciec. Aśka ma rację, coś w tym jest, że zawsze śpiewamy przy myciu.

Pościelił swój tapczan, przez ten czas ucichła piosenka. Łazienka była wolna. Szybko dopełnił porannej toalety i zajrzał do kuchni. Zastał wszystkich przy stole.

— Dzień dobry zacnej rodzince.

— Dzień dobry, siadaj, mleko stygnie.

Jadł powoli i słuchał opowieści wojennej ojca. Potem Aśka upierała się, że chce jechać na obóz, a rodzice nie bardzo się godzili. Piotr odnosił wrażenie, że już kiedyś słuchał tego samego, że nawet wie, czym się ta rozmowa zakończy i że Aśka w końcu na obóz pojedzie.

Po śniadaniu wziął się solidnie za naukę. Właściwie to chciał solidnie, a wyszło tak sobie. Obiad minął podobnie jak śniadanie, tylko ojciec dla odmiany snuł monolog na temat naprawy i odnowy. Wyliczał w punktach, co by zrobił, gdyby był kierownikiem swojego resortu. Piotr nie wtrącał się do rozmowy. Raz po raz spoglądał na zegarek. Czas się mu dłużył. Przyszedł wreszcie moment, w którym z ulgą zatrzasnął drzwi za sobą.

Hanka przywitała go w nowej sukience, z upiętymi włosami. Inna i równie ładna. Pocałowali się.

— Co robimy? — zapytała.

— Chodźmy na spacer, a po drodze coś wymyślimy.

— Dobra, chodźmy.

— Udały się imieniny?

— Nie bardzo, nudno, ale było dużo gości.

— I co goście, nieciekawi?

— Wiesz, jak na imieninach u rodziny.

— Wyobrażam sobie. Może wstąpimy na kawę?

— O tak, bardzo dobrze, bo jeszcze wieczorem będę musiała się uczyć.

Piotrek zdrętwiał.

— Nie masz więc czasu?

— No, niedługo będę musiała wracać.

Weszli do kawiarni i zajęli stolik w zacisznym kąciku. Piotrek zamówił dwie małe kawy.

— Wiesz, Haniu, wczoraj czytałem „Pierwszy krok w chmurach". Znasz to?

— Tak, przeglądałam.

— Ciekawe — zastanowił się Piotr — ona nie czyta, ona zawsze przegląda.

— Nie sądzisz, że autor ma dziwne spojrzenie na świat? Dostrzega samo zło.

— Taki już jest.

— Ty go tylko klasyfikujesz, ale pomyśl: jeśli jest dobrym obserwatorem, to powinien zauważać także i dobre strony życia. Przecież i takie są, nie?

— No to co, że są. Jego interesowały tylko te gorsze.

— Masz rację. Każdy pisze o tym, co zna, co go absorbuje i trudno chcieć więcej. Najbardziej podobało mi się opowiadanie o tych ludziach z bazy.

— Z jakiej bazy?

— No wiesz, samochodowej. O tym szoferze, co z początku mu nie szło.

— Tobie podoba się wszystko, co ma związek z samochodami.

— Mylisz się, w tym wypadku nie ma to znaczenia.

— Wszystko jedno, jakbym miała forsę, zafundowałabym ci samochód.

— A ja tobie ogród botaniczny.

— Toś mnie przelicytował.

Młodziutka kelnerka postawiła filiżanki z kawą.

— Od razu zapłacimy — powiedział Piotr.

— Czekaj, ja dziś płacę, moja kolej.

— Nie, dziś jeszcze ja, a ty zafundujesz kiedyś kino.

— Dobra, kino niezły pomysł.

— Wiesz, Haniu, że mam wspaniałą siostrę...

— Nic mi o niej nie opowiadałeś.

— Nie mówiłem ci jeszcze? Ona jest fajna.

— Co to znaczy?

— To znaczy dobrze się złożyło, że jest taka, jaka jest.

— Nie kapuję.

— Nie zastanawiałaś się nigdy nad tym, że rodzeństwa się nie wybiera, po prostu nie ma się na to wpływu i że można przecież źle trafić. Na przykład twoim bratem albo siostrą może być zdrajca, tchórz, wyrachowany obłudnik, że nigdy nie będziesz się mogła z nimi porozumieć.

— Masz rację, trzeba się umieć cieszyć tym, co się ma.

— Nie ironizuj, naprawdę cieszę się, że mam taką siostrę i ani ciut inną.

— A chciałbyś, żebym ja była ciut inna?

— Nie, też nie. Wiesz, wczoraj nie było rodziców w domu i gdyby nie te imieniny, mogłabyś do mnie przyjść. Bylibyśmy sami.

— A siostra?

— Namówiłbym ją na kino.

— A jakby nie poszła?

— No to pogadalibyśmy sobie w trójkę. Zawsze chciałem tak sobie pogadać w trójkę. Na pewno byś Aśkę polubiła i ona ciebie.

— Nigdy nie wiem, czego chcesz naprawdę...

— Jak to nie wiesz? Chcę być z tobą.

— A ja muszę już iść — spoważniała Hanka.

— Szkoda, ale jeśli tak trzeba, to chodźmy.

Piotr odprowadził Hankę do domu, a potem długo się przechadzał po ulicach, oglądał wystawy. Chciał sobie przedłużyć niedzielę. Jutro znów szkoła i dzień jak co dzień...

*

Nazajutrz wybiegł z bramy i już z daleka spostrzegł na skrzyżowaniu Andrzeja. — Nie idziemy do szkoły, czy co? — zastanawiał się Piotr. Historię umiem, zresztą to ostatnia lekcja, po co nawiewać...

— Cześć, Piotr.

— Co jest? Nie idziesz do szkoły?

— Obaj nie idziemy.

— O co chodzi, dlaczego? Jak się wytłumaczymy?

— Coś tam się wymyśli. Piotrek, stało się coś niedobrego i dlatego postanowiłem, żebyśmy się rano spotkali u mnie w domu. Trzeba się nad tym zastanowić. Wypijemy kawę, posiedzimy, rozważymy na spokojnie.

— No, jak tak postanowiłeś, widać masz powody. A ja się tej historii nawkuwałem...

— Czego się nauczyłeś, będziesz umiał; w środę jak znalazł.

Dobiegli do tramwaju. Pośpiech innych ludzi wydał się teraz Piotrowi śmieszny. Bardzo śmieszny. Pędzili, aby podpisać listę obecności, coś dokończyć, coś zacząć. Im się już nie spieszy. Przed nimi cały ranek. Ale o co chodzi? Jak to Andrzej mówił, coś niedobrego...

— Andrzej no powiedz wreszcie, o co chodzi?

— Wyjaśni się wszystko w swoim czasie.

Piotr jednak nie przestał myśleć. Nic przecież nie mają na sumieniu. Andrzej kiedyś nawet kradł, ale po tej bójce na ulicy to się skończyło. Przyrzekł wtedy i słowa dotrzymał. Może coś u niego w domu?

— Wysiadamy.

C.D.N.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039. Nakład — 422.000 Zam. 1161 A-50

Spróbuj Rozwiązać

BLIŹNIĘTA Nr 1

Zadanie polega na odgadnięciu wyrazów pomocniczych o poniższych znaczeniach i wpisaniu ich na miejsce liczb, znajdujących się przy każdym z nich, przy czym należy pamiętać, że takim samym liczbom odpowiadają takie same litery. Następnie na miejsce liczb widocznych w diagramach podstawić odpowiadające im litery (z odgadniętych wyrazów pomocniczych) i rzędami poziomymi odczytać rozwiązanie: przysłowie ormiańskie. Ciekawostką tego zadania jest to, że rozwiązania obydwóch diagramów są identyczne, oraz, że zadanie można rozwiązywać w różne sposoby, a mianowicie:

a) można rozwiązać tylko górny diagram,

b) można rozwiązać tylko dolny diagram,

c) w razie trudności w rozwiązywaniu można wykorzystać obydwa diagramy.

d) można z koleżanką lub kolegą rozegrać mecz, kto szybciej rozwiąże jeden z diagramów (ustalony uprzednio przez losowanie).

Znaczenie wyrazów pomocniczych (1)

Miasto 160 kanałów i 400 mostów = 1—4—3—4—13—15—9.

Smaczna ryba górskich rzek = 8—18—10—6—12—5.

Przenikliwe zimno = 11—2—12—19.

Omyłka = 19—16—12—14.

Narzędzie do majsterkowania = 17—16—7—10—4—20.

4	–	17	12	14	6	11	4	15	4	.
5	7	.	7	14	.	18	2	4	19	2
.	17	12	14	6	11	4	15	18	11	4
.	8	9	10	6	11	12	13	.	3	9
1	9	.	13	11	16	7	1	2	4	20
11	9	16	4	–	14	7	15	6	11	4
.	5	6	7	3	7	.	14	7	15	6
.	8	9	10	6	11	12	13	.	3	9
7	3	7	6	5	.	4	3	3	7	1

BLIŹNIĘTA

1	2	3	3	4	.	5	6	7	3	7
.	8	9	10	6	11	12	13	.	3	9
.	5	6	7	3	7	.	14	7	15	6
11	9	16	4	–	14	7	15	6	11	4
1	9	.	13	11	16	7	1	2	4	20
.	8	9	10	6	11	12	13	.	3	9
.	17	12	14	6	11	4	15	18	11	4
5	7	.	7	14	.	18	2	4	19	2
4	–	17	12	14	6	11	4	15	4	.

Znaczenie wyrazów pomocniczych (2)

Szkolny awans = 8—6—7—17—7—13—15—9.

Rodzaj sztyletu nasadzanego na lufę karabinu = 19—9—5—3—4—10.

Nie wszystko, co się świeci = 11—16—7—10—7.

Woń spalenizny = 18—1—12—14.

Cenny u słonia = 20—2—4—16.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na pocztówce: „BLIŹNIĘTA Nr 1". Do rozlosowania BONY KSIĄŻKOWE

A WIĘC BLIŹNIĘTA!

Na nasz błyskawiczny konkurs w n-rze 16 otrzymaliśmy bardzo dużo listów. Wszystkim bardzo dziękujemy. Wśród propozycji największą ilość głosów otrzymał tytuł „Bliźnięta". Tak więc od dzisiaj będzie nazywało się nasze zadanie. Wśród uczestników konkursu rozlosowaliśmy bony książkowe. A oto laureaci: **Róża Budnik**, — Gdańsk-Oliwa, **Wiesława Grabowska** — Sosnowiec, **Jerzy Ogorzałek** — Dobrzanów, **Lucyna Organek** — Sojczyn Borowy, **Ryszard Piątek** — Skarżysko-Kamienna.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

CZEŚĆ!

„Co ma przedstawiać malowidło dla Świata Młodych?" — pyta mnie w liście Monika. Odpowiadam: WSZYSTKO. Co kto, chce, temat jest dowolny

Arek Pawlak wpadł na pomysł, żeby co trzeci numer „Rzepa" był „indiański". Mnie się pomysł Arka podoba, ale przypuszczam, że się nie zgodzą czytelnicy. Zwolennicy Eskimosów będą chcieli „Rzepa" eskimoskiego, miłośniczki lalek — „LALKORZEPA" itd. Na razie występuję dziś na znaczku w stroju indiańskim.

Pisze do mnie „Dixi", żebym obok swojej podobizny zamieścił także podobiznę p. Lewińskiego. Bardzo proszę, oto ona. Portret wykonałem własnoręcznie.

Karol Toporek ze Skarżyska nadesłał bardzo udany literkowy samochód „GAZIK"

Bardzo mi się ten wóz podoba
Do zobaczenia
RZEP

SŁOWNIK WYRAZÓW OBCYCH WYSZPERANYCH W WASZYCH LISTACH

MAŻENIE	— MARZENIE
SAMOCHUD	— SAMOCHÓD
ŁUDKA	— ŁÓDKA
WĘTKARZ	— WĘDKARZ
KRZYRZÓWKA	— KRZYŻÓWKA
LĄDYN	— LONDYN
CAUSY	— CAŁUSY
ZIUI KO	— ZIÓŁKO
ZABŁONKANA	— ZABŁĄKANA
HOLIŁUT	— HOLLYWOOD

Charlie Chaplin będąc kilkunastoletnim chłopcem rozbił piłką szybę w drzwiach niewielkiego sklepu. Oczywiście zaczął natychmiast uciekać, ale sklepikarz dogonił go i złapał.

— Zapłacisz mi, łobuzie, za tę szybę! — krzyczał sklepikarz, tarmosząc małego Chaplina za ucho.

— Oczywiście, proszę pana — odpowiedział na to Chaplin — przecież właśnie biegłem do domu po pieniądze!

Nadesłał Ludwik Rosner
z Cieszyna

TATO!!! TELEFON DO CIEBIE! **Rys. W. Lewiński**

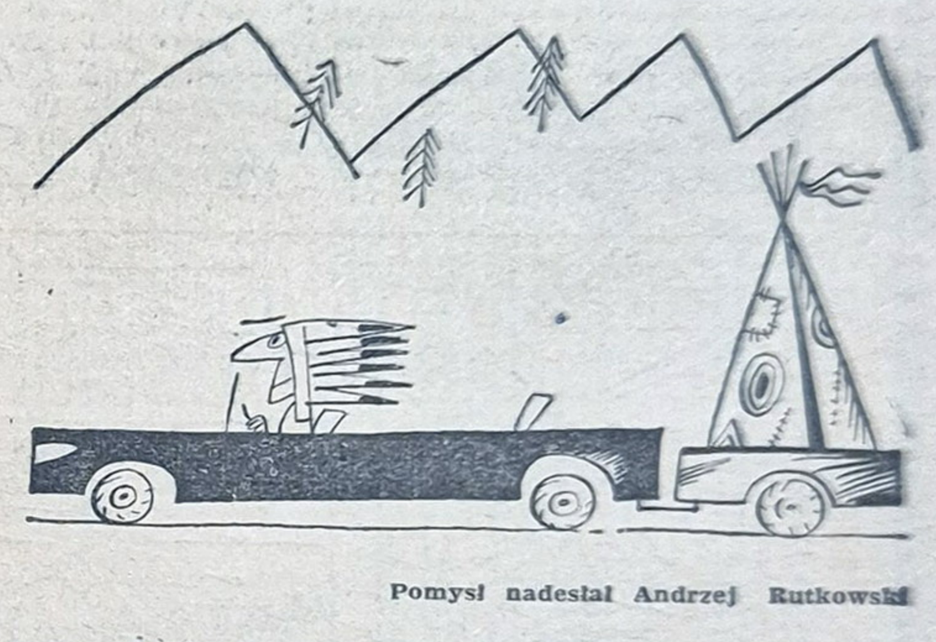

Pomysł nadesłał Andrzej Rutkowski

— Panie, wszyscy tu są w strojach kąpielowych a pan w ubraniu?!
— Bo wszyscy tu się kąpią, a ja się topię!

Joanna Kamińska
z Gdyni

— Synku, skąd na twoim fartuchu tyle dziur?!
— Bo dziś bawiliśmy się w sklep i ja byłem serem szwajcarskim.

A. Kubisiak
z Poznania

— Czy wychodzisz gdzieś wieczorem?
„Marie Claire"

Wyszperała Ania Wieczorek

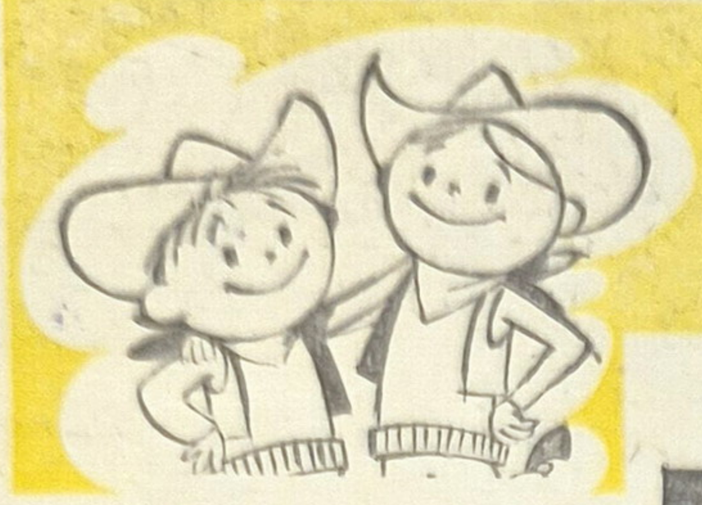

BOLEK i LOLEK
NA DZIKIM ZACHODZIE
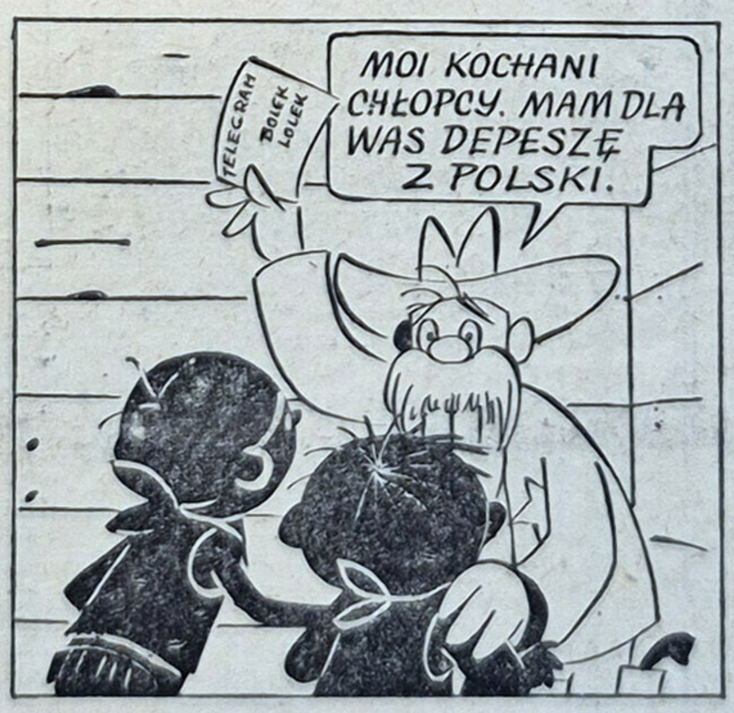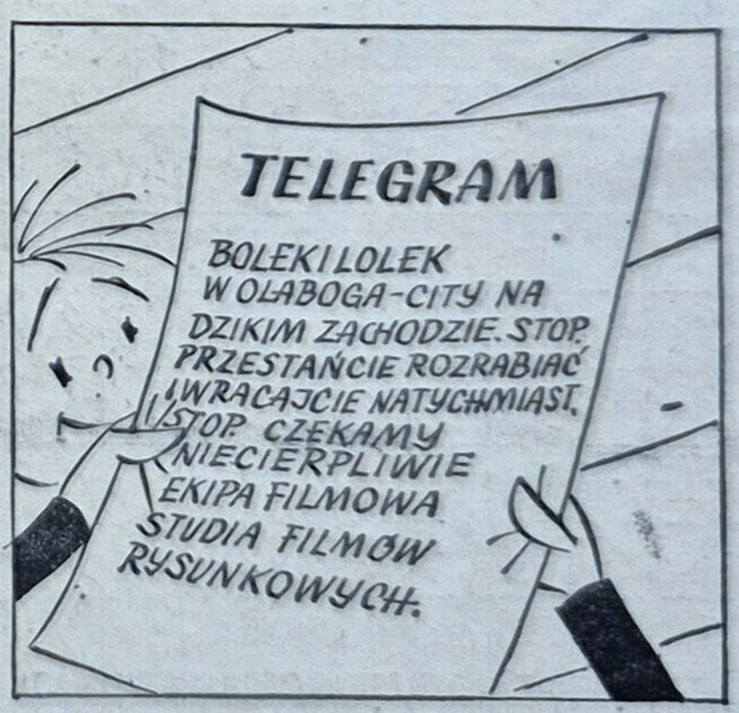
Scenariusz:
WŁ. NEHREBECKI
Rysunki:
ST. DULZ